(1870-71)

43-44

25 • X – 1 • XI • 1981 r.

ŚWIERSZCZYK

Tygodnik dla młodszych dzieci

Oj, w kadzidlańskim borze
źródełeczko bije,
fruwa nad nim ptaszek,
po kropelce pije...

Oj, w kadzidlańskim borze
wysokie drzewa,
pod każdym dwa ptaki,
źródełko śpiewa...

Oj, w tym borze na Kurpiach
dzieją się same dziwy,
choć ptaki wycięte z papieru,
śpiewają jak prawdziwe.

T. Chwastek-Latuszkowa

Cena 8 zł

Bajka o wesołym miasteczku

To dziwne, ale nie ma tego miasteczka na żadnej mapie... Bo jest ono ciągle w drodze, w ustawicznej wędrówce do ludzi, a szczególnie do dzieci.

Gdy tylko słońce zrzuca z ziemi zimowy płaszcz, rusza w szeroko otwarty świat wesołe miasteczko wuja Dominika. Kilkanaście kolorowych wozów wiezie skarby śmiechu, złoto zabawy. A więc są tam strzelnice, karuzele, huśtawki, gry zręcznościowe, gabinet grozy i humoru oraz inne cuda.

Wuj Dominik zatrzymuje swoje miasteczko na kółkach obok miejscowości, które wydadzą mu się szczególnie smutne. Ustawia wozy w czarodziejski krąg, sam staje w środku i na złotej trąbce gra radosny hejnał. Jest to wezwanie i zaproszenie zarazem.

I co się dzieje?

Już po chwili zewsząd biegną dzieci spragnione zabawy. I już chłopcy i dziewczynki fruwają w powietrzu na karuzeli. I już pęka od wesołych głosów gabinet śmiechu. Wuj Dominik bardzo zadowolony przechadza się po swym wesołym miasteczku, które nazwał słusznie SIÓDMYM NIEBEM.

A wieczorem jest jeszcze przyjemniej, bo zapalają się kolorowe światła i wesołe miasteczko zdaje się kołysać na falach muzyki. Razem z dziećmi bawią się dorośli, przypominając sobie swoje dzieciństwo, gdy niepotrzebne im były kalendarzyki i zegarki. Wuj Dominik aż sapie z zadowolenia, głośno pyka z krótkiej fajeczki, wypuszczając gęste kłęby dymu. Kto bystrzejszy, zobaczy w fajeczkowych obłokach śmiejące się, wirujące karuzele!

Radosny nastrój SIÓDMEGO NIEBA zawsze udzielał się wszystkim, nawet tym, którzy nie przyszli do wesołego miasteczka. Ludzie w okolicy zasypiali z uśmiechem i mieli bardzo kolorowe i przyjemne sny.

A pewien Tomek raz wyśnił sobie, że został wujem Dominikiem. Postanowił więc, że i on musi mieć takie wesołe miasteczko, z którym będzie jeździł wszędzie od wiosny do zimy. Zaraz rano pobiegł do SIÓDMEGO NIEBA.

Wuj Dominik dobrotliwie wysłuchał marzenia chłopca. A potem wziął złotą trąbkę i zagrał... Gdy skończył, zapytał:

– Wiesz, kogo wzywałem?

– Nie wiem... – odparł chłopiec.

– Posłuchaj, Tomku. Kiedy mój ojciec postanowił mi przekazać SIÓDME NIEBO, musiałem mu umieć powiedzieć, o czym szumi wiatr, o czym pluszcze deszcz, o czym śpiewają ptaki i o czym gra na swej trąbce mój ojciec. Wtedy dopiero pozwolił mi samodzielnie ruszyć w świat. Wiedział, że nie będę obojętny na głosy mieszkańców ziemi, że nie będę rozdawcą głupiej wesołości, że uśmiech, który ludziom zaniosę, będzie przeznaczony dla wszystkich, dla najbardziej radości potrzebujących. Uśmiechu trzeba się uczyć i to jest bardzo trudna nauka. Spróbuj uśmiechać się codziennie; rano, w południe i wieczorem... Kiedy tę sztukę opanujesz, ja podaruję ci moje wesołe miasteczko, bo będę już bardzo stary. Zgoda?

– Dobrze, wuju Dominiku! Ale powiedz, co to była za melodia, którą przed chwilą grałeś?

– To było specjalne wezwanie i zaproszenie...

I wuj Dominik opowiedział, że w każdy czwartek do SIÓDMEGO NIEBA mają bezpłatny wstęp wszyscy ci, którzy przyprowadzą do wesołego miasteczka dzieci smutne, niewidome, chore. Wuj Dominik sadza je na czarodziejskiej karuzeli i dzieci na moment odzyskują zdrowie.

– Szkoda, że tylko na chwilę – westchnął Tomek.

– Z takich drobnych, szczęśliwych chwil można ułożyć naprawdę piękne i długie życie, wierz mi – powiedział wuj Dominik i przyłożył do ust złotą trąbkę.

Emil Biela
Rysował Tomasz Borowski

SIODME NIEBO

TYM, CO ODESZLI

Płomyków tysiąc
cicho płonie
jak dywan świateł
ciepłych, ruchliwych,
jak pozdrowienie
przyjaznych dłoni
dla nich – już zmarłych,
od nas – żywych.

Pod krzyżem złoci się
chryzantema,
słońce bladawe
sączy promienie…
Chociaż odeszli,
choć ich już nie ma,
dla nas żyć będą nadal
… wspomnieniem.

Hanna Łochocka

Rys. Bożena Truchanowska

Łukasz do tej pory nie wie, jak to się stało. Gdy spojrzał tego wieczora na rycerską tarczę z trzema głowami dzików, która wisiała na ścianie w dużym pokoju, poczuł najpierw jakieś dziwne kołysanie, a potem razem z rodzicami i Kubą znalazł się nagle na dziedzińcu zamkowym, po którym chodzili nieznani mężczyźni. Podszedł do nich szczupły, wysoki człowiek w ciemnym stroju, za pasem miał zatknięte rękawice, a przy boku wąski sztylet.

– Cóżeście to tak rano przyjechali, komedianci? – zapytał.

– Chyba bierze nas za aktorów... – wymruczał ojciec. – Może kręcą tu jakiś film?

– Chodźcie do kuchni, trzeba coś zjeść i przyzwoicie się odziać. Wstyd, żeby waćpanna nogi pokazywała. Zgorszenie tylko – oburzył się mężczyzna, patrząc na mamę.

Przeszli przez dziedziniec i zaczęli schodzić po schodkach. Za grubymi drzwiami była duża sala, w której stały wielkie, drewniane stoły. Pod ścianą, na palenisku, parował ogromny kocioł, a obok piętrzyły się misy i dzbany, stały jeden na drugim puste jeszcze półmiski.

To nie były dekoracje do filmu. To była najprawdziwsza prawda!

– Macieju, przyprowadziłem komediantów, daj im co zjeść! – zawołał mężczyzna.

Maciej, w skórzanym fartuchu, z wielkimi wąsami założonymi za uszy, ale za to z łysą głową, wyglądał jak wielka foka. Popatrzył na nich i aż usiadł na podłodze trzęsąc się ze śmiechu. Łysina mu poczerwieniała, a z oczu kapały łzy.

– Kogucie ty mój! – wyjęczał. – Przecież ja czegoś podobnego w życiu nie widziałem! Co oni na siebie pozakładali? Zbójcy was napadli, że chodzicie jeno w samych koszulach?

– Nikt nas nie napadł. Przyjechaliśmy tu, żeby zobaczyć zamek. A ty nie śmiej się z nas, tylko daj jeść, jak ci rozkazano – zdenerwował się ojciec.

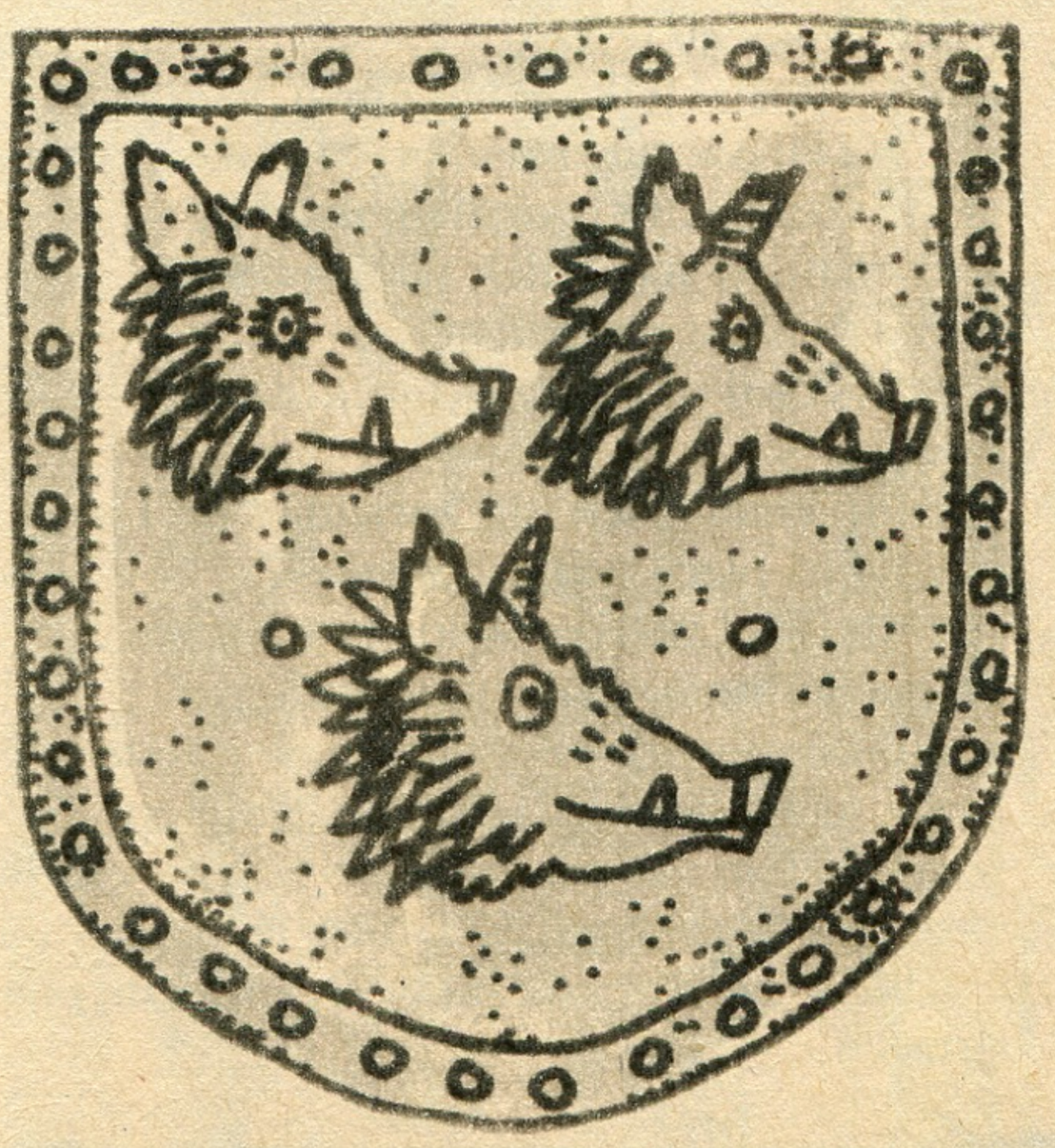

Siedli za stołem i po chwili zaczęli zajadać, aż im się uszy trzęsły, a Maciej tylko podejrzliwie na nich zerkał.

Do Łukasza podszedł chłopiec.

– Jestem Kazimierz z Sandomierza – powiedział. – A ciebie jak zwą?

– Łukasz.

– To tak jak mój ojciec. A skąd jesteś? – spytał.

– Z Warszawy – odparł Łukasz przełykając kęs mięsiwa.

– Rety, z Warszawy, toż to kawał drogi! Jedz szybciej, bo turniej wnet się zaczyna.

– Turniej?! – prawie zakrztusił się Łukasz.

Wybiegli razem na dziedziniec. Gwarno tam było i tłum wielki. Na ławach siedziały dziwnie i pięknie ubrane damy, obok stali i siedzieli mężczyźni. Nad nimi, na murze zamkowym, stali trębacze. Pośrodku był duży plac, ogrodzony i posypany piaskiem. Z jednej strony placu stali rycerze ze swymi giermkami. Niektórzy byli już ubrani w piękne, lśniące zbroje, inni jeszcze coś przy nich poprawiali.

Wtem rozległy się głosy trąb, wysoki, najwspanialej ubrany mężczyzna skinął ręką i rozpoczął się turniej

Młodzi rycerze, w zbrojach i z opuszczonymi przyłbicami, na koniach przybranych kolorowymi czaprakami stawali naprzeciwko siebie i, opuszczając kopie, nacierali, starając się

jeden drugiego wysadzić z siodła. Wreszcie na placu pozostał tylko jeden z nich, najdzielniejszy. Na tarczy miał herb, przedstawiający trzy głowy dzików. Otrzymał on nagrodę od króla i wjechawszy na środek placu podniósł przyłbicę i dumnie zawołał:

– Niechaj wystąpi, kto zechce zmierzyć się ze mną!

Nim ktokolwiek się zorientował, Łukasz już stał na placu turniejowym.

– Jestem Łukasz z Warszawy – powiedział. – Chcę walczyć z tym rycerzem.

Nikt się nie zdziwił. Nikt nie zaprotestował.

Zaczęto mu nakładać zbroję. Najpierw skórzany kaftan, a potem pancerz, po chwili nagolenniki na nogi, w końcu naramienniki i hełm z przyłbicą, ozdobiony pękiem piór strusich.

Przyprowadzono konia, również tak zakutego w żelazo, że ledwo mu było widać kopyta. Wsadzono Łukasza na rumaka, podano kopię i tarczę.

Zagrzmiały trąby. Na ich znak mający ze sobą walczyć rycerze rozjechali się w różne strony i stanęli naprzeciwko siebie. Przyłbice mieli opuszczone, kopie podnieśli do biodra. Łukasz, mocno siedzący w siodle z wysokim oparciem, podniósł tarczę wyżej, tak, że prawie cały schował się za nią. Obserwował każdy ruch przeciwnika. Czuł, jak serce mocno bije mu pod pancerzem.

Wtem ponownie rozległy się trąby i obaj rycerze natarli na siebie. Kopie z trzaskiem uderzyły w zbroje. Łukasz poczuł silny cios w pierś i o mało nie upuścił kopii. Aż nim zachwiało. Zauważył, że przeciwnik mocno

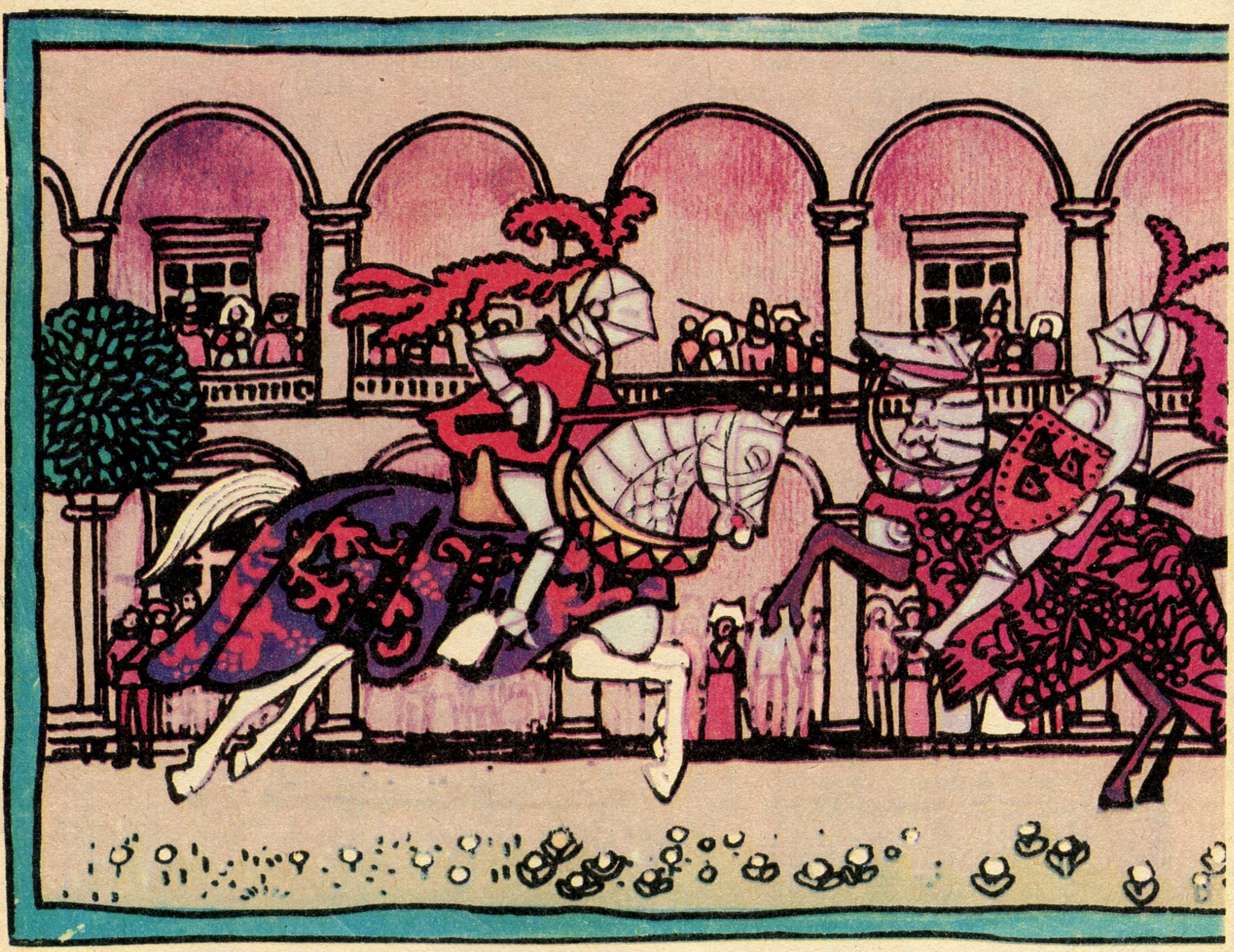

odchylił się do tyłu, ale szybko ponownie wyprostował się w siodle.

– Żeby tak jeszcze raz trafić w to samo miejsce – pomyślał chłopiec – toby go wyrzuciło!

Zawrócili i znowu natarli. Cios Łukasza był celny i tym razem przeciwnik wyrzucił nogi ze strzemion i bezwładnie runął z konia na ziemię. Tarcza i kopia poleciały w różne strony, a on leżał na placu niby wielki, opancerzony żuk przebierający bezradnie nogami.

Łukasz zatoczył koniem koło, zatrzymał się przed miejscem, w którym siedział król, i podniósł przyłbicę. Król skinął ręką i powiedział:

– Na pamiątkę tak pięknego zwycięstwa, przyjmij tarczę swego przeciwnika. Ile razy na nią spojrzysz, niechaj ci przypomina, że w tym turnieju zostałeś zwycięzcą.

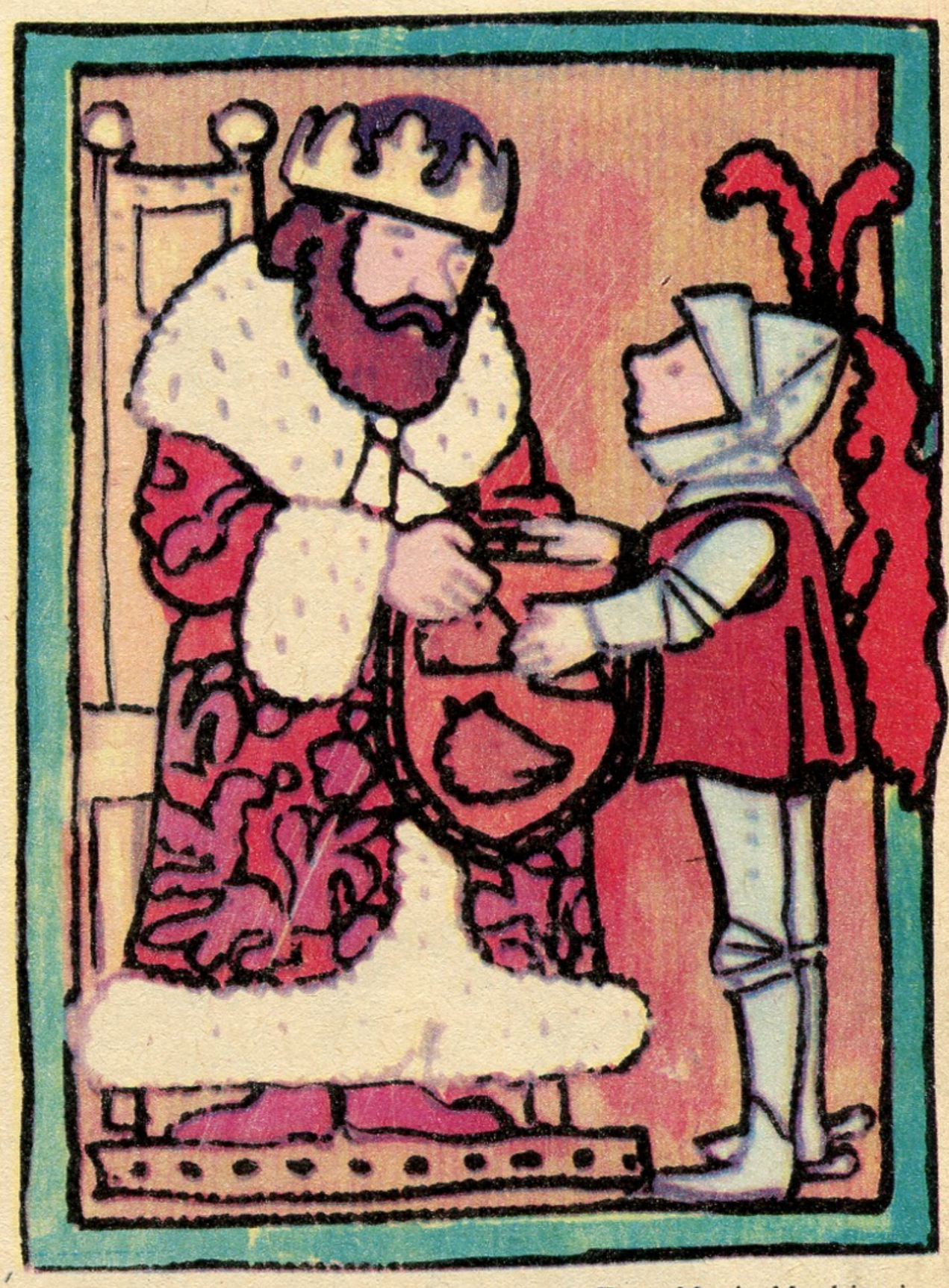

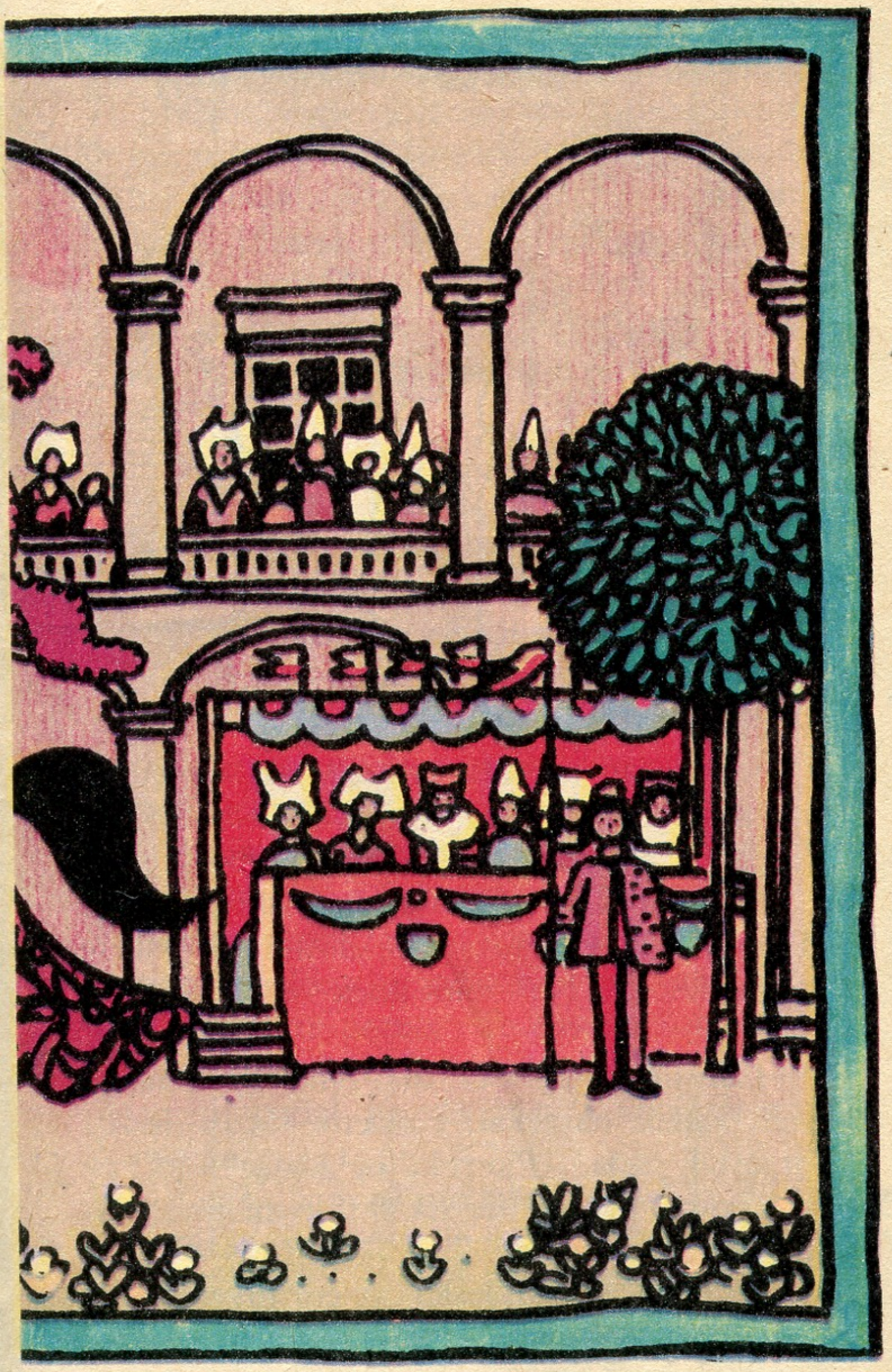

Rys. Maria Mackiewicz

To powiedziawszy, król wręczył mu tarczę z trzema dziczymi głowami. Łukasz chwycił ją, podziękował i podjechał do rodziców.

– Gdzie ją powiesimy? – zapytał, jeszcze zdyszany i rozgrzany walką.

– W twoim pokoju, na ścianie – odpowiedział ojciec.

Łukasz spostrzegł teraz wśród widzów otaczających miejsce walki łysego Macieja i roześmianego, dumnego z przewagi przyjaciela – Kazimierza. Słyszał, jak głośno wiwatują na jego cześć, widział ich wyciągnięte w jego stronę dłonie. Obraz ten jednak stawał się coraz bardziej mglisty, oddalał się, zanikał...

★

– Fantastyczna była przygoda, prawda? – spytał tato, otwierając drzwi mieszkania.

A Łukasz, wchodząc do dużego pokoju, nie zobaczył na ścianie tarczy z trzema dziczymi głowami. Wisiała nad jego łóżkiem...

Wojciech Marczyk

ZMIENNA DOLA PANA PARASOLA

Wcale nie tak dawno temu za lasami (ale nie za górami, bo gór tam nie było) żył sobie parasol. Nazywał się właśnie Parasol i miał Piotrka. Tak, tak, to nie Piotrek miał parasol, ale parasol miał Piotrka. Takie historie się zdarzają zwłaszcza jeżeli Piotrkowie są ulegli i nieśmiali, a parasole bezczelne i zarozumiałe. Taki był właśnie ten Piotrek i taki był ten Parasol.

W dodatku Parasol trochę nie dowidział. Bywało, idzie z Piotrkiem ulicą, wychyla się, wychyla, aż Piotrek jest już cały mokry i nagle:

– Zobacz, mały, dlaczego ta pani ciągnie za sobą kiełbasę na sznurku? – szeleści Parasol.

Kiełbasę? A, to jamnik na smyczy. Piotrkowi wstyd, patrzy tylko, czy aby właścicielka psa nic nie słyszała.

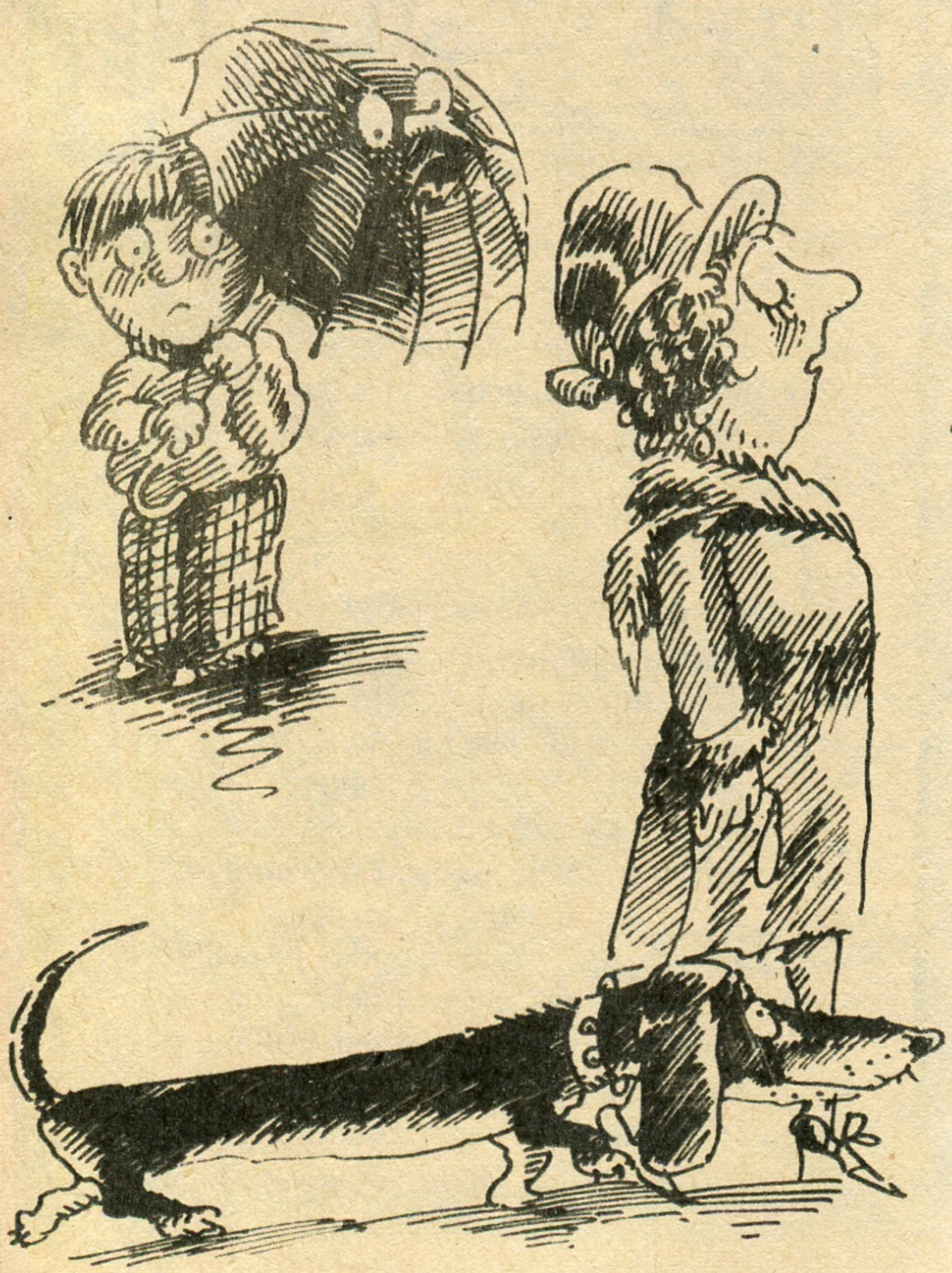

Rys. Jerzy Flisak

Albo stoi Parasol w kącie i żąda:

– Przysuń mi tutaj ten futrzak, lubię, jak mi miękko pod nogą. Piotrek podchodzi bliżej, a tu „futrzak" hyc! skacze w górę.

– Ach, ty głupi parasolu – myśli sobie Piotrek, ale tylko myśli, bo głośno bałby się to powiedzieć. – Na moim kocie zachciało ci się stawać!

Taki to był Parasol: nic, tylko by rozkazywał, żądał, narzekał. Czasem, kiedy deszcz przestał padać, Piotrek, oglądając wystawy sklepowe, opierał się na złożonym parasolu. I zaraz awantura.

– Cóż to, jestem laską czy co? Przestań, bo mnie skrzywisz!

Piotrek, zahukany przez swój parasol, spełniał wszystkie jego zachcianki. Ale czasem zapominał się i zaczynał na przykład wymachiwać nim na ulicy. Co to się wtedy działo!

– Kup sobie chorągiewkę, a mnie daj spokój! Od tego machania w drutach mi się kręci! Co za dziecko!

Co za parasol, chciałoby się wykrzyknąć! Ale nie dość na tym. Nieraz deszcz lał jak z cebra, a Piotrek akurat musiał pójść do kolegi po zeszyt. Łapie więc za parasol, a parasol ani rusz. Stoi, nawet nie drgnie.

– Nie pójdę – powiada. – Taka ulewa, taki wiatr, jeszcze mi pokrycie poszarpie. Nie pójdę i koniec!

Aż raz wydarzyła się taka historia.

Piotrek wracał od cioci. Był z nim Parasol, bo deszcz padał, taki sobie deszczyk, wcale nie najgorszy, ale za to był wicher, o, wicher to był nad wichry! Nie miał ten wicher nic lepszego do roboty, więc bawił się Piotrkiem jak piłką. To przetoczył go z jednego końca chodnika na drugi, to podrzucił do góry, to przyparł go do muru. I chichotał, a jakże! wesoło mu było. Wtem... Piotrek poczuł, że nie ma parasola! Wiatr go porwał! Spojrzał Piotrek do góry, a tam... Parasol wisi na drutach telefonicznych! Wisi i bezradnie macha drewnianą rączką!

– Hi, hi, hi, o rety, ale heca! – pękał ze śmiechu Piotrek.

A Parasol:

– Kochany, zrób coś, zdejmij mnie stąd, już dłużej wisieć nie mogę – prosi.

No tak, przyszła wreszcie kryska na Matyska. Po raz pierwszy w swoim zrzędliwym życiu parasol o coś prosił! Piotrek od razu poczuł się bardzo ważny.

– A niech sobie poczeka, nauczy się wreszcie, kto tu rządzi – pomyślał. I poszedł.

Parasol wisiał tak do następnego dnia. Nazajutrz tata Piotrka zadzwonił po pomoc drogową i pan z tej pomocy drogowej zdjął parasol z drutów. Piotrek, który asystował przy całej operacji, wziął go do ręki i spojrzał nań z wysoka.

– I co? – zapytał groźnie.

– Nic – wyszeptał potulnie sponiewierany Parasol.

I odtąd nie było już z nim kłopotów.

Anna Rżysko-Jamrozik

WSZĘDZIE LIŚCIE, WSZĘDZIE ZŁOTO

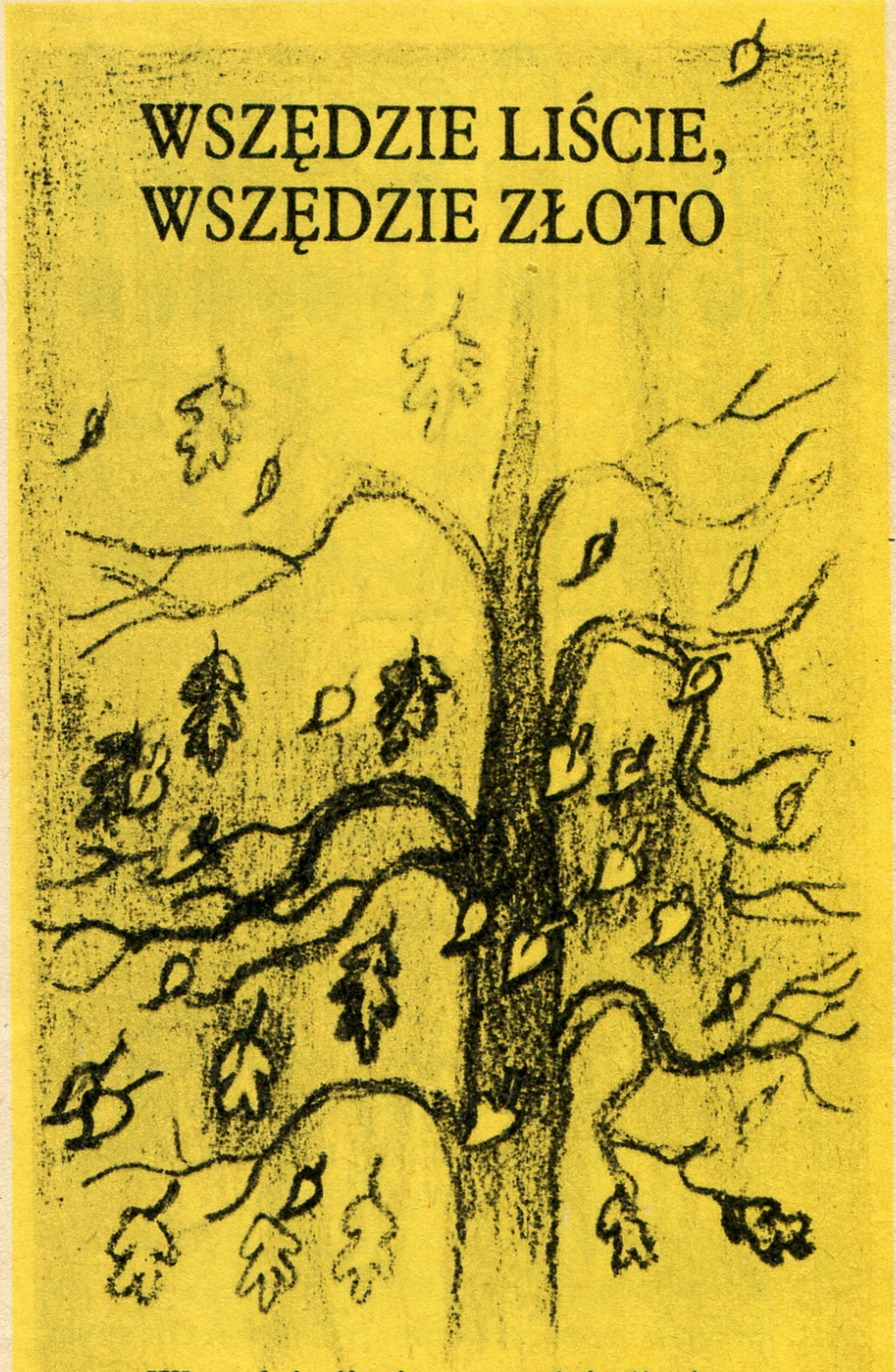

Wszędzie liście, wszędzie liście,
z wszystkich drzew opadną w mig.
Tak ich dużo! I cóż z tego,
gdy ich tutaj nie chce nikt.

Złoto, złoto, a po złocie
chodzi jesień wzdłuż i wszerz.
I co z tego, i co z tego,
gdy nikt złota nie chce też.

Wszędzie liście, wszystko w złocie
jak królewski, cenny skarb.
I co z tego? Butów krocie!
Tłum to złoto w proszek starł.

Ivica Vanja Rorić
Z serbskochorwackiego
przełożył Tadeusz Śliwiak

Rys. Halina Zakrzewska

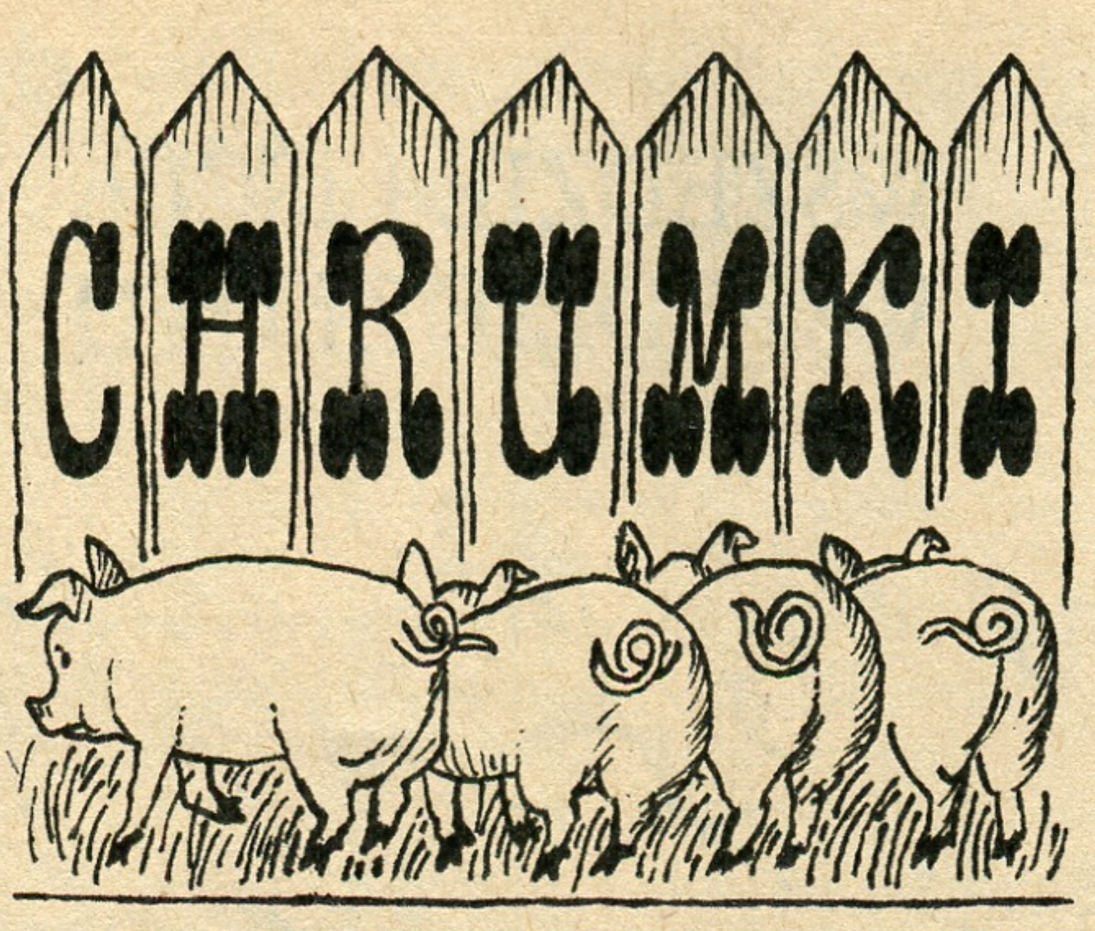

Napisał Franciszek Kobryńczuk

Miał tata Małgosi oprócz dużych świń jeszcze kilkanaście mniejszych, a ponadto dwanaście maleńkich, sześciotygodniowych prosiąt, które wszyscy nazywali chrumkami. Biegały sobie po podwórku. Grzały się w słońcu. Bały się tylko Burka i gąsiorów, bo one szczypały je za ogonki.

Aż raz, gdy Małgosia nie zamknęła za sobą furtki od podwórka, prosiaczki wysadziły ryjki na drogę. Popatrzyły najpierw w lewo, potem w prawo i pobiegły do lasu.

– Chrum, chrum! – chrząkały chórem. – Ile tu cudowności! Jaki ten mech miękki! O, jak przyjemnie poryć w nim ryjkami! A co za tym lasem jest ciekawego?

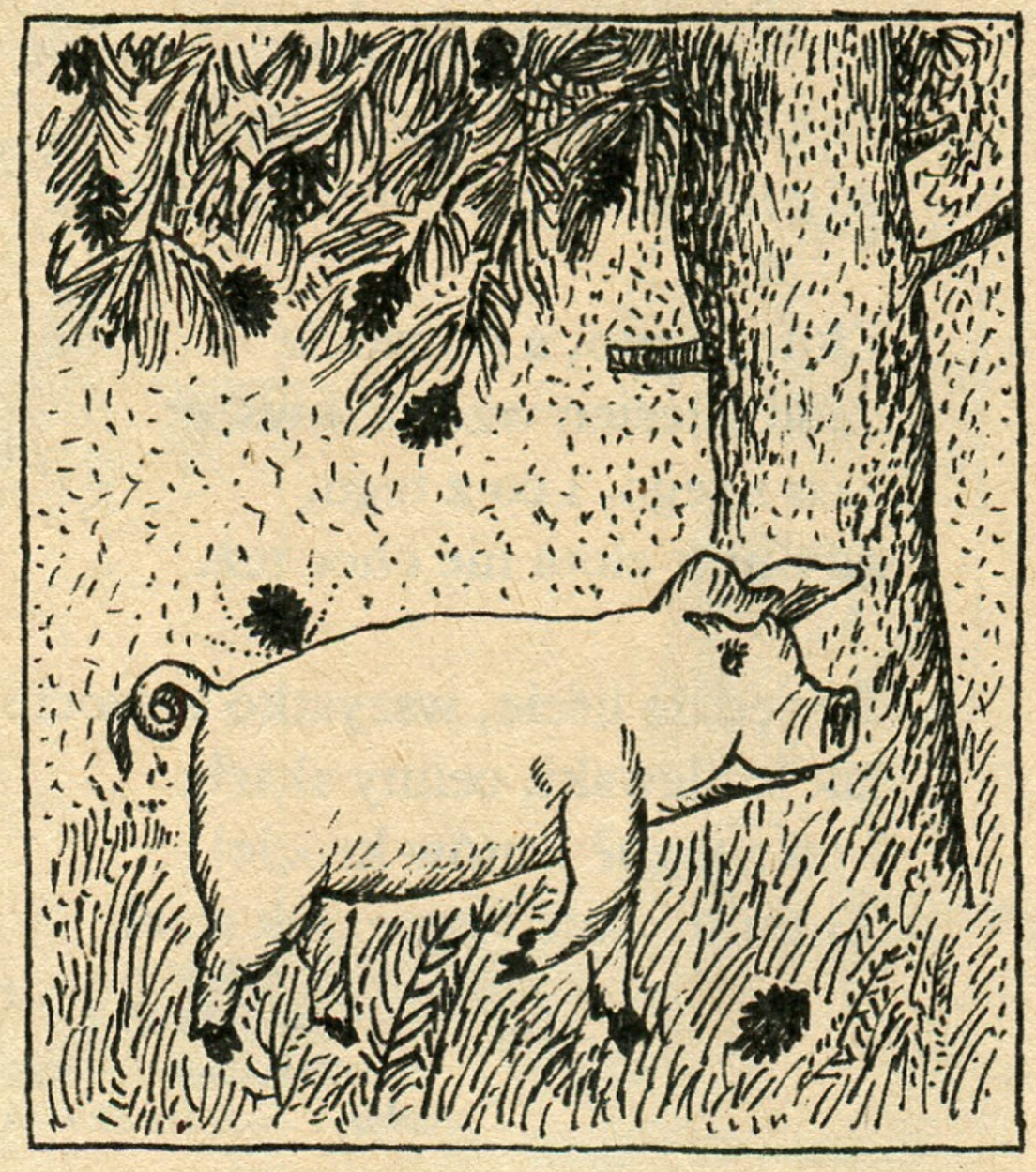

– Jak żyję, takich pięknych prosiaczków nie widziałam – pomyślała wiewiórka i żeby zwrócić na siebie uwagę, wycelowała w jednego wielką szyszką. Spojrzał chrumek w górę, nie dlatego, żeby go to tak bardzo zabolało, lecz aby pogrozić sośnie za ten cios.

– Uważaj, starucho, bo cię wykopiemy z korzeniami! – chrumknął prosiak.

– Chi, chi! – śmiała się wiewiórka. – Nie ubliżaj poczciwym drzewom, które tworzą to królestwo leśne! – pogroziła.

– Przepraszam! – powiedział chrumek.

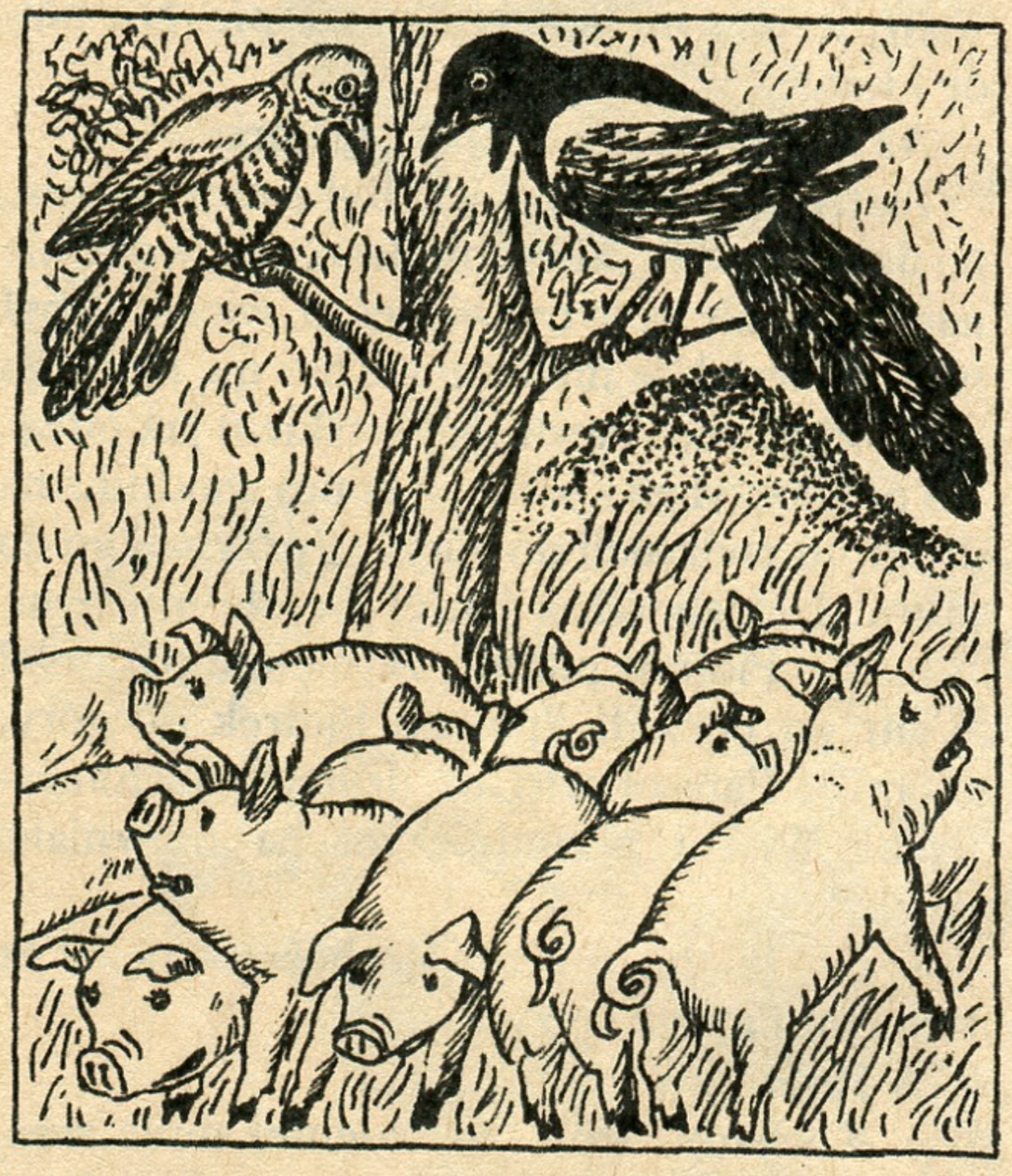

Tymczasem o pobycie prosiaków szybko dowiedziała się sroka i zaraz przywołała kukułkę. Postanowiły obie natychmiast zrobić im jakiś kawał. Kukułka zaczęła kukać raz z lewej, raz z prawej strony. Potem zakukała z przodu, z tyłu i znów z lewej. Nastawiały chrumki uszy na wszystkie strony, żeby dobrze posłuchać tego kukania, aż zaczęło się im kręcić i mącić w głowach do tego stopnia, że zupełnie straciły orientację. Gdzie jest ich podwórko? Gdzie brzeg lasu? Gdzie dróżka? Zjawiła się sroka. Skacząc po mchu woła:

– Proszę, chodźcie tędy! Ja was zaprowadzę!

To mówiąc, prowadziła prosiaki do mrowiska.

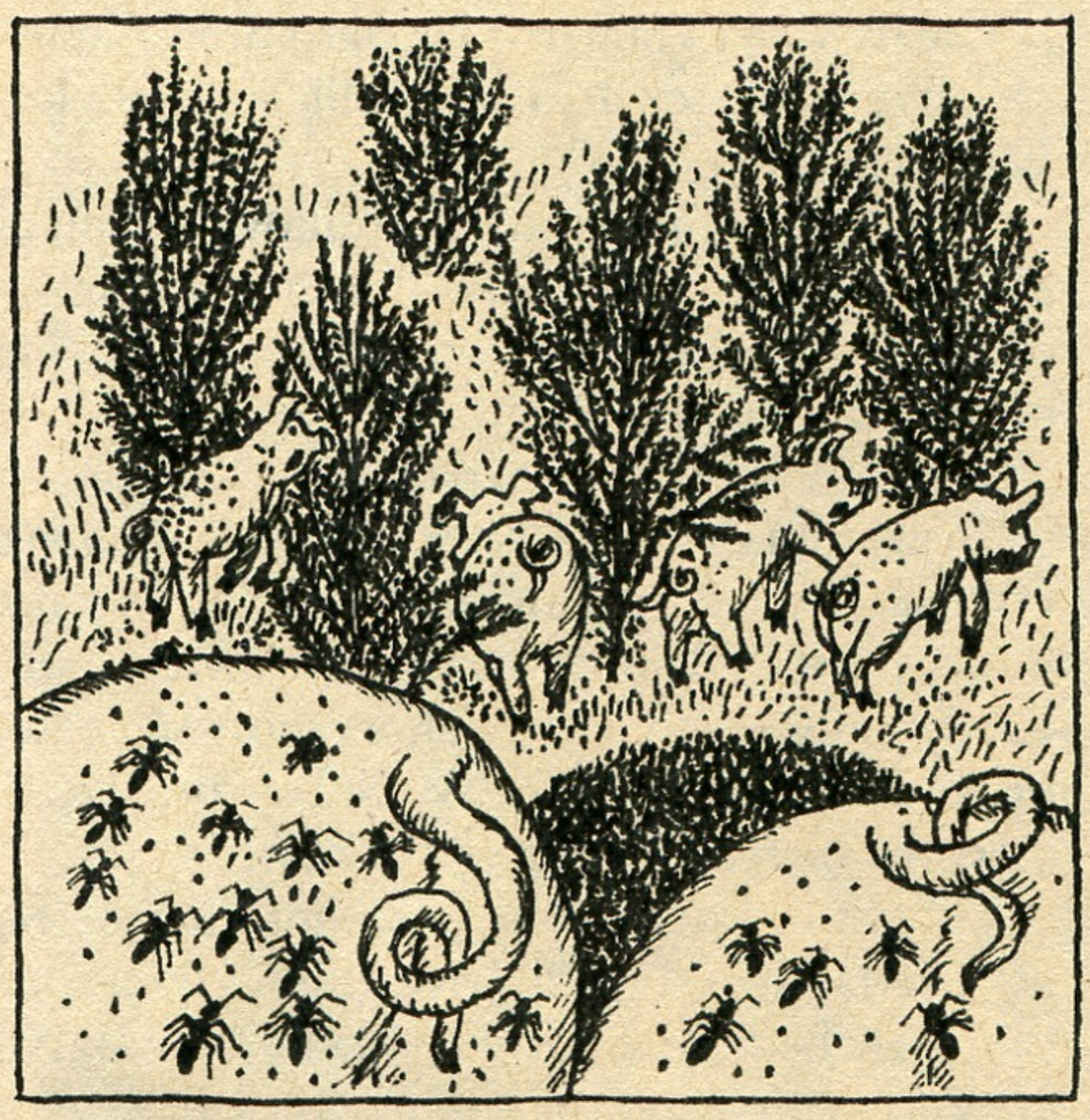

– Teraz w tej górce zacznijcie kopać, aż się dokopiecie do swego podwórka!

Posłuchały tej rady niemądre chrumki. W mrowisku mrówki-strażniczki podniosły alarm. Mrówki-bojowniczki w brązowych tużurkach zaczęły kąsać prosiaki ostrymi szczękami, a to paliło skórę jak pokrzywa. Chrumki zrozumiały, że zostały oszukane przez srokę. Na szczęście rosły obok jałowce. Prosiaki dały w nie nura i ich ostrym igliwiem oczyściły się i uwolniły od atakujących mrówek.

– Poczekaj ty! – wygrażały sroce.

Na słonecznej, szerokiej polanie, gdzie rosły wrzosy, położyły się prosięta, aby odpocząć... Po chwili spały. I wszystkie miały jednakowy sen. Śniło się im, że sroce kukułka naniosła do gniazda swoich jajek. Wylęgły się z nich zaraz duże kukułczęta i sroka musiała się dobrze napracować, żeby tę gawiedź wyżywić.

– A widzisz, to za to, że nas wprowadziłaś w mrowisko! – cieszyły się chrumki.

A dalej śniło się im, że na polanie chodziła kukułka w sukni z dużym dekoltem, jak jakaś elegancka pani. Był chłodny kwiecień i kukułka dostała chrypy. Nazajutrz, gdy wszystkie ptaki witały śpiewem wschodzące słońce, kukułka nie mogła kukać, tylko skrzeczała coś pod dziobem.

– A widzisz, to za to, że nam pomyliłaś ścieżki! – cieszyły się chrumki.

Pod jednym prosiaczkiem zaczęła się ruszać ziemia. Z ziemi wyszedł kret w czarnym, lśniącym garniturze.

– Ktoś ty? – spytał prosiak.

– Jestem tu królem! – odpowiedział kret.

– Taki mały i król!

– Czemu się dziwisz? W dalekiej puszczy królem jest na przykład żubr, a w sąsiednim lesie – myszka, gdzie indziej lis lub jeż, a tu ja króluję – tłumaczył kret. – Ten jest zawsze królem, kto jest najmądrzejszy – ciągnął dalej.

– Toś ty taki! – zachwycił się prosiak. – I co mądrego nam powiesz?

– To, że powinnyście czym prędzej wracać do domu, bo grozi wam niebezpieczeństwo – oznajmił kret. – W tamtych krzakach siedzi

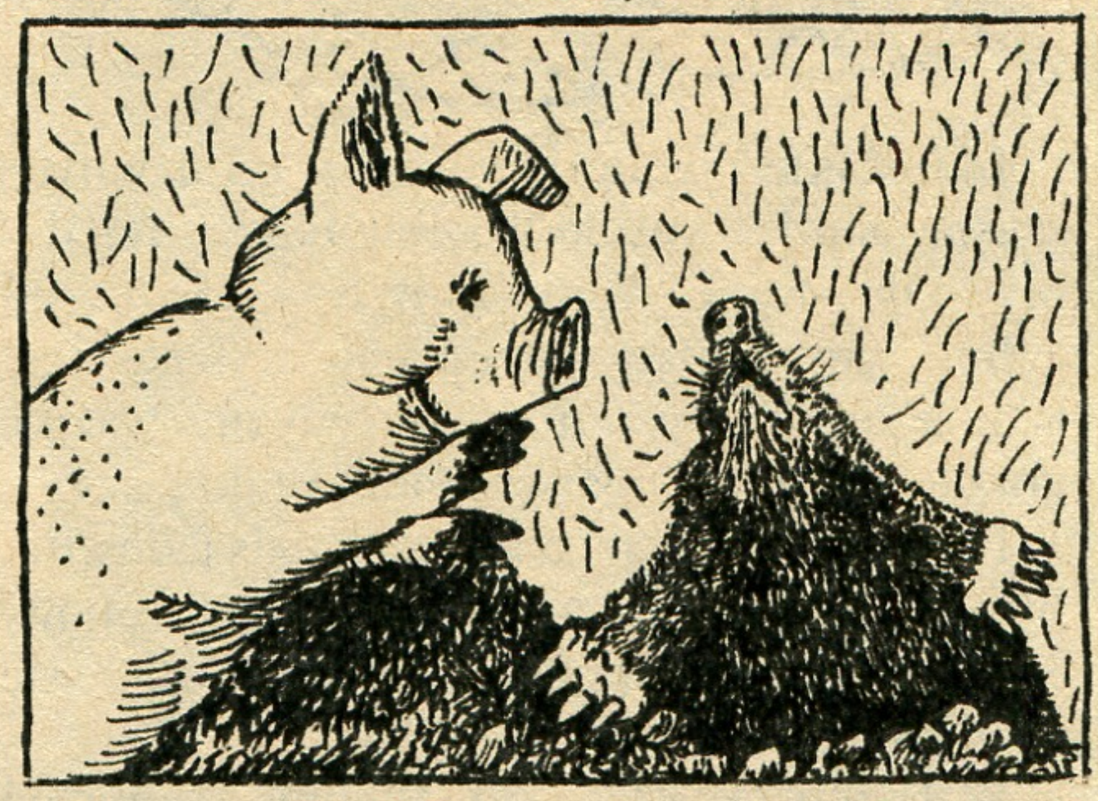

Rys. Bohdan Bocianowski

wilk, a tam lis. Na drzewie w dziupli drzemie kuna. Tylko czekają, aż zrobi się ciemno.

Przestraszył się chrumek i zaczął budzić towarzyszy.

– Wstawajcie, widziałem króla! – wołał.

– Jakiego króla? – pytały.

– Mądrego!

Kret tymczasem zakopał się w ziemię.

Usłyszały prosiaki dalekie szczekanie Burka.

– W tym kierunku idźmy, skąd dochodzi ten głos! – rozkazał któryś.

– Może ten nasz Burek jest u nas królem nie tylko dlatego, że jest groźny, ale i dlatego, że mądry? – zastanawiał się inny.

Pokwikując chrumki wpadły na podwórko. Burek obiegł wszystkie wkoło, szczeknął groźnie i poszedł do Małgosi zameldować, że odnalazł się jej inwentarz.

PODARUNEK GICZY MEDY

Bajka indiańska

Indiańskie plemię Seminolów od dawnych czasów zamieszkiwało Wielkie Bagna. Ich domy, tak zwane ,,cziki", były kryte liśćmi palmowymi i stały na palach, wysoko nad ziemią. Sąsiadami Seminolów były przeważnie groźne aligatory*, barwnopióre ptaki i węże.

Przed wiekami grzechotniki, dziś jadowite, były zupełnie niegroźne. Nie miały ani zębów, ani jadu, toteż Seminole nie musieli ich się obawiać.

W lasach porastających Wielkie Bagna żył wówczas samotnie Niedobry Człowiek. Był to zły Indianin, który zabijał wszystkie napotkane na drodze zwierzęta nie dla zaspokojenia głodu, ale z okrucieństwa, i za to Seminole wygnali go ze swojej wsi. Pewnego dnia Niedobry Człowiek natknął się na panią grzechotnikową wędrującą z trójką swoich dzieci. Kiedy małe wężyki pozostały nieco w tyle za swoją matką, Niedobry Człowiek zadeptał je.

Grzechotnikowa, płacząc żałośnie, popełzła do wioski Seminolów opowiedzieć o swoim nieszczęściu mądremu Giczy Medzie – Wielkiemu Czarownikowi. Czarownik siedział właśnie przed swoją ,,cziki", wygrzewając się na słońcu. Był to stary, przygarbiony człowiek, o włosach białych jak skrzydło łabędzia.

– Stało się wielkie nieszczęście, Giczy Medo, mądry i dobry starcze – zawodziła grzechotnikowa. – Moje dzieci zabił Niedobry Człowiek, kiedy bawiły się na leśnej ścieżce...

Giczy Meda zmartwił się ogromnie. Zmarszczył groźnie czoło i zamyślił się głęboko. Wreszcie rzekł:

– Nie płacz, pani grzechotnikowo. Dam ci coś, co obroni ciebie i twoje dzieci w przyszłości przed podobnym niebezpieczeństwem, ale musisz trochę poczekać.

Wielki Czarownik rozpalił ognisko i zawiesił nad nim kociołek z wodą. Usiadł obok i mrucząc pod nosem zaklęcia, raz po raz wrzucał do kociołka garść suszonych ziół. Kiedy słońce ukryło się za horyzontem, drewnianą łyżką wyciągnął z kociołka dwa rzędy ostrych, białych i lśniących zębów.

– Weź te zęby pani grzechotnikowo. Są ostre i jadowite. Jeśli więc kiedyś jakiś zły człowiek będzie chciał cię skrzywdzić, ugryź go. Ale mam jeszcze coś dla ciebie...

Giczy Meda po chwili przyniósł ze swojej ,,cziki" duży koszyk upleciony z trzciny. Wyciągnął z niego maleńkiego wężyka.

– Znalazłem tego malca kilka dni temu w swojej łodzi, kiedy wybierałem się na połów ryb. Był bardzo głodny. Płakał. Powiedział mi, że zginęła mu mama. Myślę, że po tylu dniach już jej nie odnajdzie. Czy nie zechciałabyś zastąpić mu matki, powiedz?

Pani grzechotnikowa była bardzo wzruszona.

– Dziękuję ci za wszystko, Wielki Czarowniku – powiedziała. – Chodź, mój synku, pójdziemy do domu – zwróciła się do wężyka. I grzechotniki zniknęły szybko wśród wysokiej trawy.

★

Od tego czasu wszyscy Seminole zostawiają grzechotniki i inne węże w spokoju. Wiedzą, że wąż nie będzie ich atakował, dopóki go nie zaczepią. I jeżeli Indianin usłyszy odgłos taki, jakby ktoś potrząsał grzechotką, zobaczy sterczący do góry łepek i drżący ogon, wie, że to wąż grzechotnik i że należy go ominąć.

W naszych lasach można spotkać i jadowitą żmiję, i łagodnego węża zaskrońca, który jest zwierzęciem chronionym. Jeżeli kiedykolwiek spotkacie któreś z tych zwierząt omińcie je z daleka i pozwólcie, aby poszły swoją drogą.

Opracował Leszek Michalik

* Aligator – gatunek krokodyla.

Rys. Tomasz Borowski

CZARUSZKOWO

Rozdział XI

Podczas tej narady Kukryk w asyście rozbawionych dzieciaków przechadzał się po placu to pusząc się, to potrząsając grzebieniem. Wśród publiczności narastały gwar i sprzeczki. Licytowano się, który z kandydatów ma większe szanse, czyniono już nawet zakłady, który z nich wygra. A gdy Kukryk parę razy donośnie zapiał, w tłumie rozległy się okrzyki:

– Wolimy koguta niż kaczora!

– Niech żyje Kukryk Odważny!

Osiołek, zmęczony wędrówką i wyczekiwaniem, odszedł sprzed trybuny i położył się w cieniu kiosku z gazetami. Tutaj przydybał go Kukryk i wybuchnął pretensją:

– Wlokłeś się jak żółw i przez to się spóźniłem!

– Jeszcze nie wiadomo.

– Zwariowany pomysł, żeby kaczora pchać na wieżę!

– Lepszy rydz niż nic – odrzekł Niebylejaki ziewając.

– Wlazł mi w paradę ten głupi kaczor! – urągał Odważny. – Potrzebny tu jak szkło w pęczaku!

– Nie irytuj się zawczasu. Skoro mądrzy się naradzają, to może się zdarzyć, że wymyślą coś mądrego.

– Ale ta niepewność, ten niepokój... – wzdycha Kukryk przestępując z nogi na nogę.

– Zaiste dziwna rzecz, że gdy ktoś sobie coś ubrda, to nie sposób mu tego wybić z głowy. Absolutnie nie pojmuję twego pragnienia, bo co do mnie, to bynajmniej nie chciałbym sterczeć na wieży.

– No, chyba! Osioł na wieży? Można by pęknąć ze śmiechu! A nie wiesz, dokąd poszła głupia Kwaczka?

– Bynajmniej nie jest głupia. A skoro poszła, to albo chciała, albo musiała. Sądzę jednak, że niebawem wróci.

A Kwaczka, drepcząc dokoła rynku, próbuje znaleźć kogoś, kto by zechciał uważnie jej wysłuchać. Po to przecież odbyła daleką podróż, żeby pokrzyżować Kukrykowi plany i zmusić go do powrotu na wieś. „Komu wygarnąć całą o nim prawdę? – rozgląda się zakłopotana. – Nikt na mnie nie zwraca uwagi!"

Kwaczka się myli. W pobliżu jest ktoś, kto bardzo pragnie ją poznać, lecz nie wie, jak to zrobić, bo gdyby nawet odważył się sfrunąć z tronu, to schwyci go czuwająca obok opiekunka.

– Bielutka jest – uśmiechnął się pod dziobem – puszysta...

– Kto? O kim mówisz – pyta szewcowa.

– O tej, co przyjechała na ośle.

– Kaczka? E, zwyczajna, wsiowa.

– Nieprawda! Nadzwyczajna, śliczna...

– Co się z tobą dzieje, Kajteczku? Może masz gorączkę? Nigdy dotychczas nie interesowałeś się pannami...

– Bo takiej nie spotkałem! Proszę ją tu przywołać!

– Teraz? W tak ważnej chwili?

– Bardzo proszę!

Kwaczka skwapliwie skorzystała z zaproszenia. Chętnie pozna bohatera dnia. Wdzięcznie mu dygnęła. Bacznie obserwując wygląd

i zachowanie Kajetana stwierdziła, że choć nie jest już młody, to poczciwie mu z oczu patrzy. Strojąc więc minki, opowiedziała o swojej podróży, a w przystępie zaufania zwierzyła się

z sercowych trosk. Wreszcie, orientując się, że za dużo gada, westchnęła:

– Właściwie po co ja to wszystko?... Przecież pana wcale to nie obchodzi...

– Przeciwnie, bardzo!

– Niebawem znajdzie się pan wysoko, ponad miasteczkiem...

– Zupełnie mnie to nie cieszy!

– Nie? To dlaczego pan kandyduje?

– Przymusili, wypadało ustąpić.

– A jeżeli radni wybiorą Kukryka Odważnego?

– To będzie doskonale!

– Jak to? Nic już nie rozumiem...

Kajetan dumnie wypiął pierś i rzekł z błyskiem w oczach:

– Może wkrótce pani zrozumie...

W tej chwili dobosz uderzył w bęben, publiczność zajęła swoje miejsca, a Kukryk, wyciągając nogi, przybiegł pod trybunę.

– Obywatele! – przemówił pan Zebranko. – Przede wszystkim przepraszamy za przerwę spowodowaną niespodziewanym zjawieniem się spóźnionego kandydata. Musieliśmy się naradzić i oto, co ogłaszam: jak wiecie, nasza Księga Ustaw nakazuje poszanowanie każdego człowieka i każdej żywej istoty, nie wolno nam więc zlekceważyć Kajetana, a jego zacnych opiekunów narażać na zawód i zrozumiałe rozgoryczenie. Postanowiliśmy zatem, że stanowisko Złotego Kurka obejmie kandadat pierwszy!

Wiwaty i brawa pomieszały się z gwałtownymi protestami. Gwizdek zagwizdał, porządkowi zaczęli nawoływać wszystkich do porządku, wreszcie zamęt ucichł.

Po odegraniu fanfary kominiarz Roch przepisowo skłonił się kandydatowi, lecz zanim wziął go na ręce, stała się rzecz niesłychana... Kajetan niezgrabnie sfrunął z tronu, przetoczył pod trybunę i oświadczył:

– Rozmyśliłem się, nie zostanę kurkiem!

– Co to ma znaczyć? – oburzył się przewodniczący.

– Zgodziłem się, bo nie było nikogo innego, ale gdy teraz macie koguta, to się nie zgadzam!

– Czyżbyś więc poprzednio zamierzał poświęcić się dla dobra miasta?

– Coś w tym rodzaju, ale już nie chcę, dziękuję, żegnam!

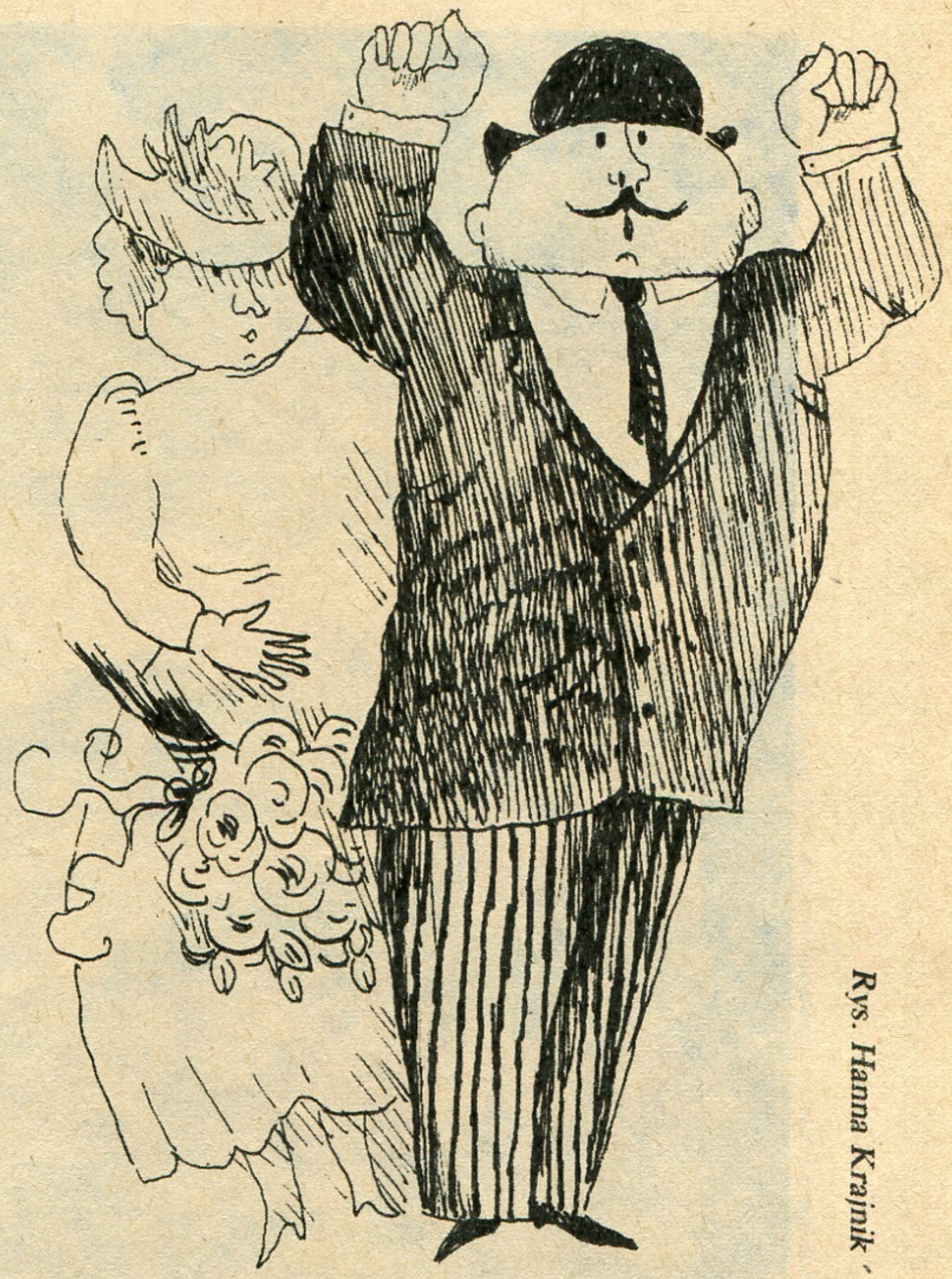

Rys. Hanna Krajnik

– Tyś chyba oszalał! – wrzasnęł szewc Cholewka.

– Zostaw go! – podbiegła zadyszana szewcowa. – Ja wiem, o co chodzi! Kajcio się zakochał...

– A to ci farsa, panie dziejku! – wybuchnął śmiechem sędzia Waga i o mało nie zakrztusił się miętówką.

Szewc, doprowadzony do szewskiej pasji, na nikogo nie zważając, wdrapał się na trybunę i krzyczy, wygrażając pięściami:

– Nie zgadzam się, to podstęp! Domagam się sprawiedliwości!

Radni zrywają się z ław, milicjant gwiżdże, pan Bosak na wszelki wypadek zadął w trąbę, dzieci piszczą... Wreszcie dwaj strażacy obezwładnili awanturnika.

Wśród podnieconej publiczności powstało tak wielkie zamieszanie, że znów trzeba było zarządzić przerwę.

(Cdn.)

Jadwiga Korczakowska

MGŁA

Chcieliśmy z Ulą wejść na górę,
a ona – hyc – zaszła za chmurę.
Krzyczy Ula: – Gdzie góra? – aż echo niesie,
a góra w chmurze, we mgle, schowała się w jesień.
Może góra pobiegła gdzieś do ciepłych krajów,
ukryła się na równiku lub w krainie Majów?
Może góra poleciała na inną planetę
i wśród malutkich kosmitów udaje kometę?
Może góra z nudów stanęła na głowie
i teraz w dolinie szumi drzew listowiem?
Myśleliśmy o górze, aż mgłą zaszła ziemia...
I jak górę znajdziemy, kiedy i nas nie ma?

Krzysztof Lisowski

PINGWIN

Pingwin to biedny ptak, ma tylko jedno ubranie i musi wszędzie w nim chodzić. Do teatru to jeszcze pasuje, ale gorzej, kiedy chce iść na basen. Na próżno już po raz dwudziesty przegląda szafę, nie ma w niej nic, w ogóle nic, żadnych kąpielówek ani krótkich spodenek. No i co ma pingwin zrobić? Idzie i kąpie się w tym, co ma, a każdy się za nim ogląda i mówi, popatrzcie no, ten pingwin to już nie wiem co wyprawia. Widział kto, żeby się kąpać w smokingu? I pingwinowi robi się bardzo smutno, bo jak się może cieszyć z takiej kąpieli...

Aż pewnego razu wybrał się w podróż. Jedzie i jedzie, ale tylko tak, bez walizki, bo nie ma co zapakować. Jedzie w swoim jedynym ubraniu gdzieś daleko, na bezludne wyspy, żeby go nikt nie oglądał. Jedzie i nagle widzi milion pingwinów, a wszystkie kąpią się w smokingach.

Zofia Beszczyńska

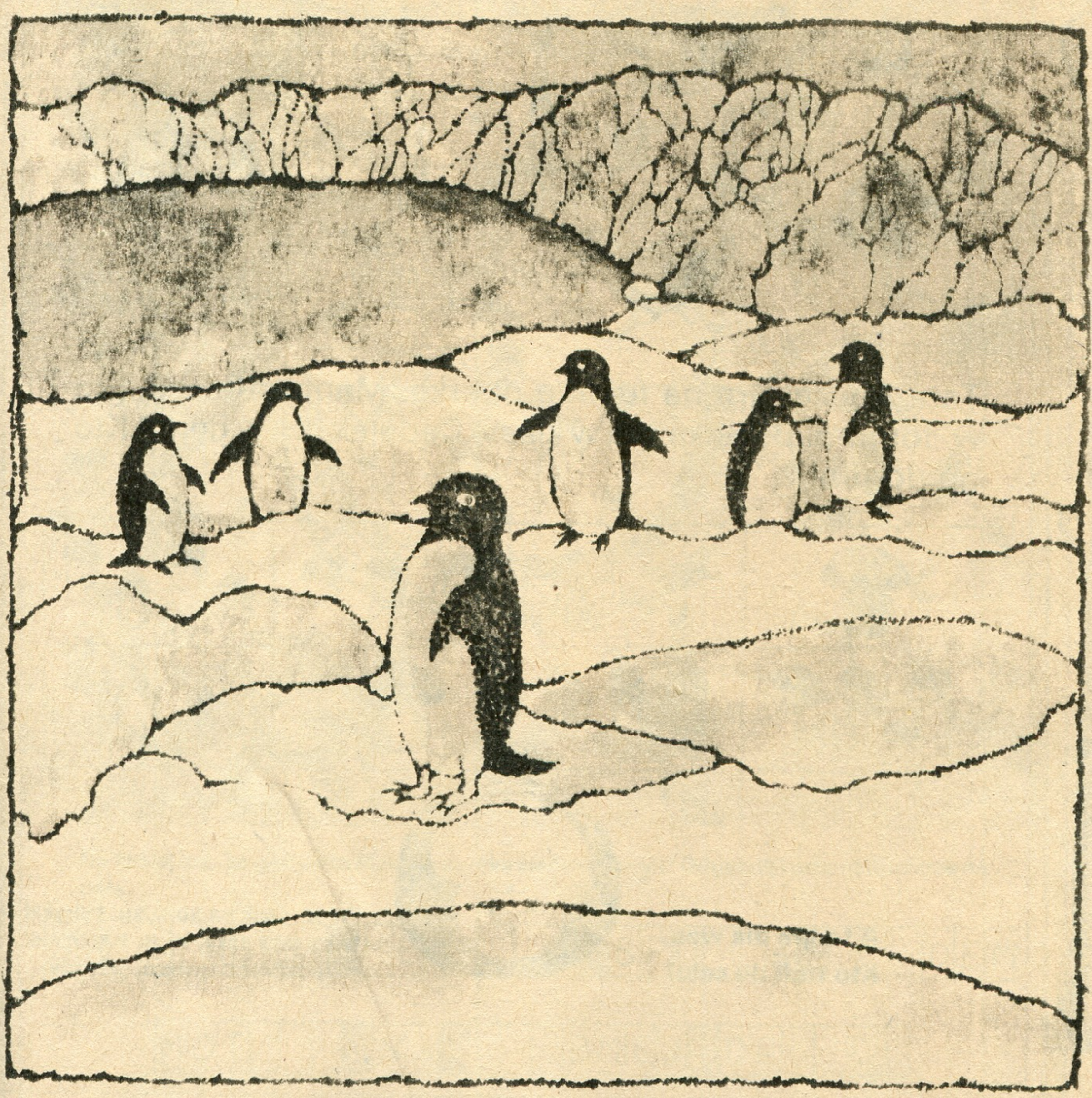

Rys. Wiesław Majchrzak

ABECELIN → 6 LAT

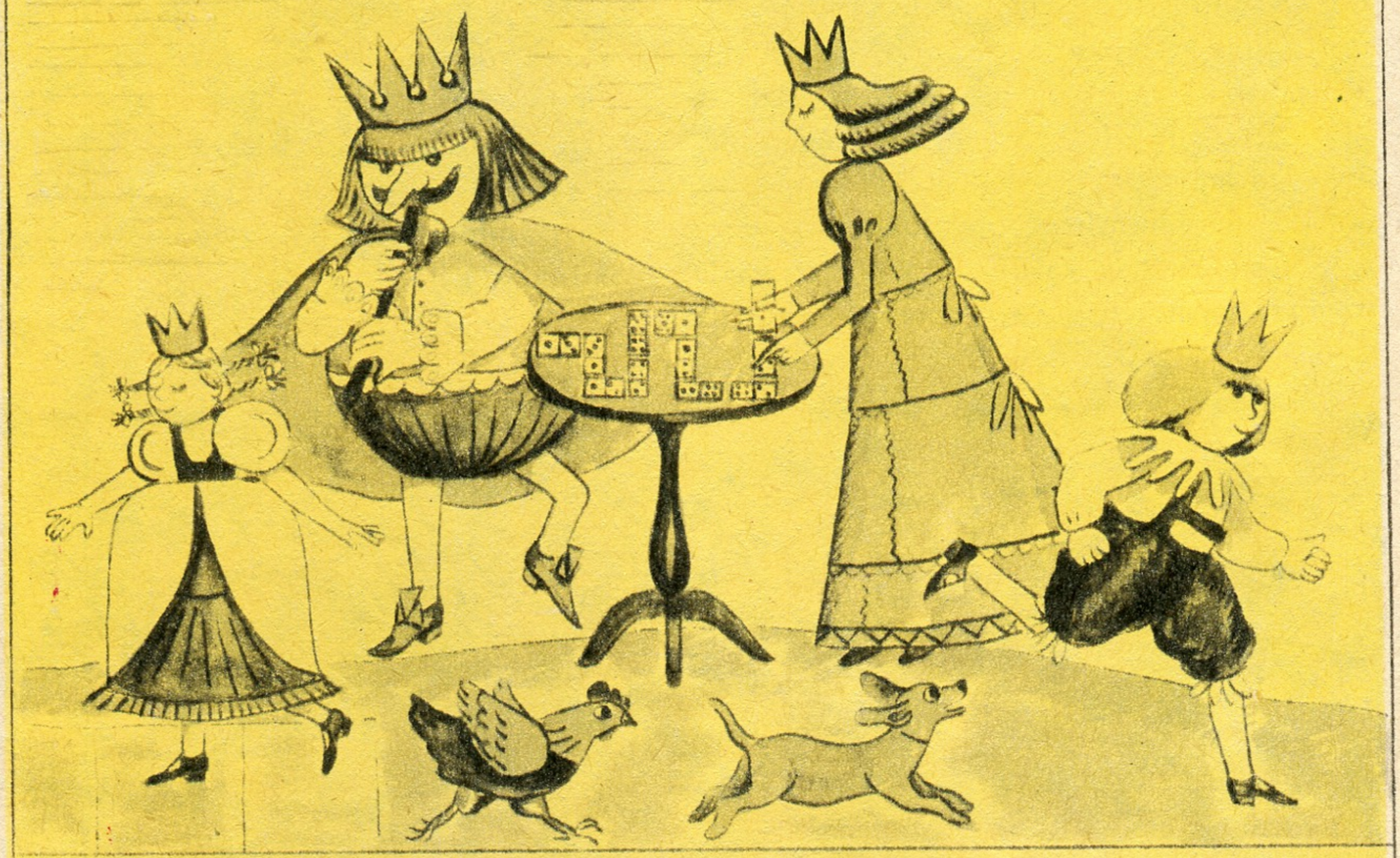

Tata Abecel gra na fujarce oberka. Mama Abecela gra w domino. Becelka gra w klasy. Cedelek gra w berka. Kto go dogoni?

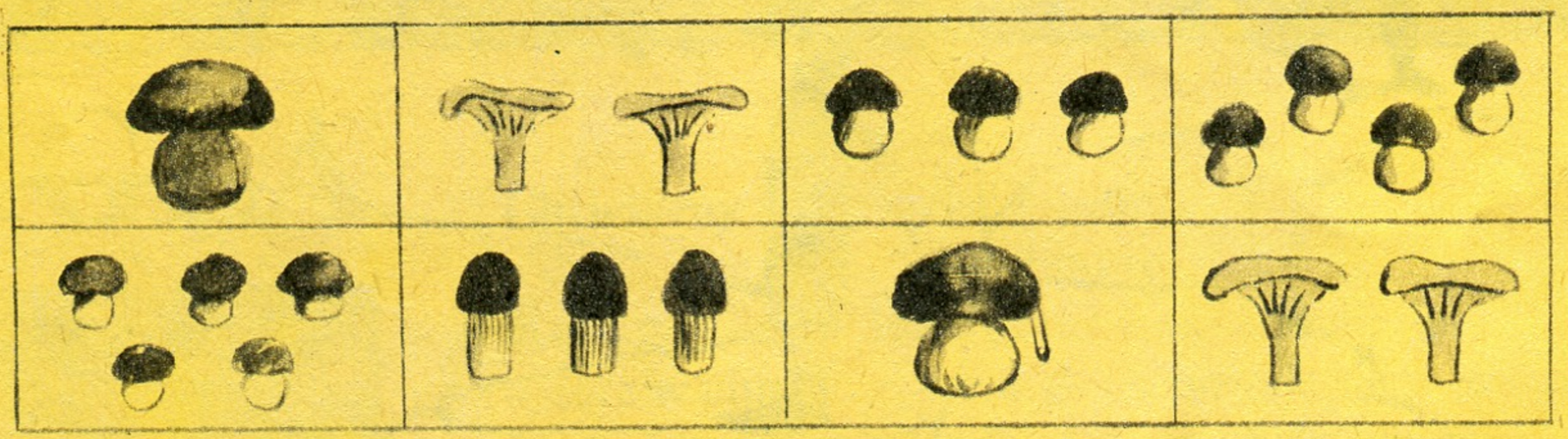

A to gra dla was.
Kto trafi do celu?

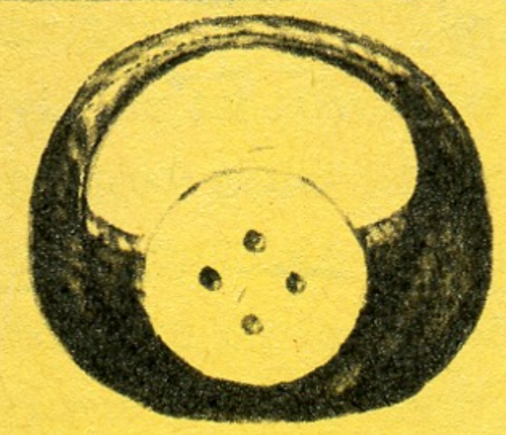

Połóż guzik na koszyku. Pstrykaj tylko dwa razy, za to tak celnie, żeby zebrać najwięcej grzybów.

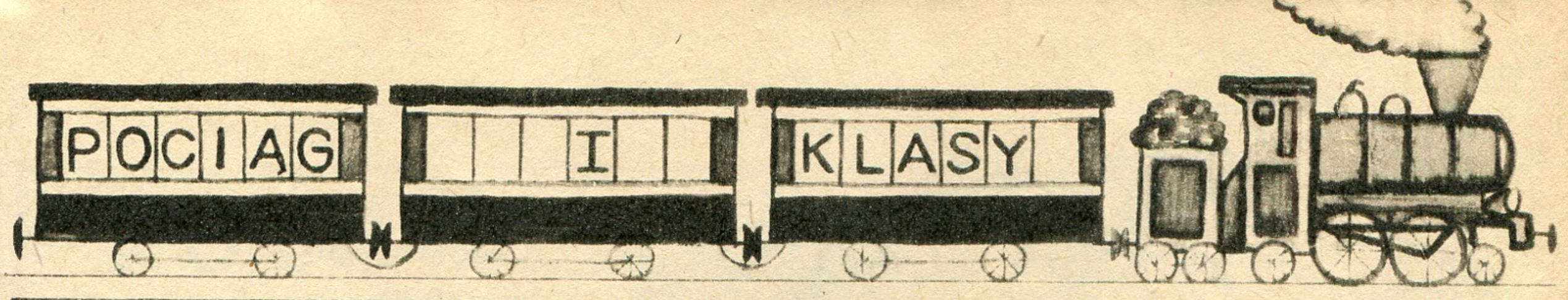

Na łące gąsienica Melania
nieraz kolejkę udaje.
Sunie od stacji Stokrotek
do stacji Niezapominajek.
Ominie stację Bratków,
a za Jaskrami stanie,
Bo obok, jak latarnie,
maki zakwitły dla niej.

Na której dróżce gąsienica Melania spotka siedem motyli? Odgadnij i uzupełnij zdanie na dole.

GĄ_ _NICA MELA_ A SPO_ A _ _ _DEM

M O T _ _ I _ N A _ _ _ D M E J _ D R _ _ C E

Rys. Hanna Nowak

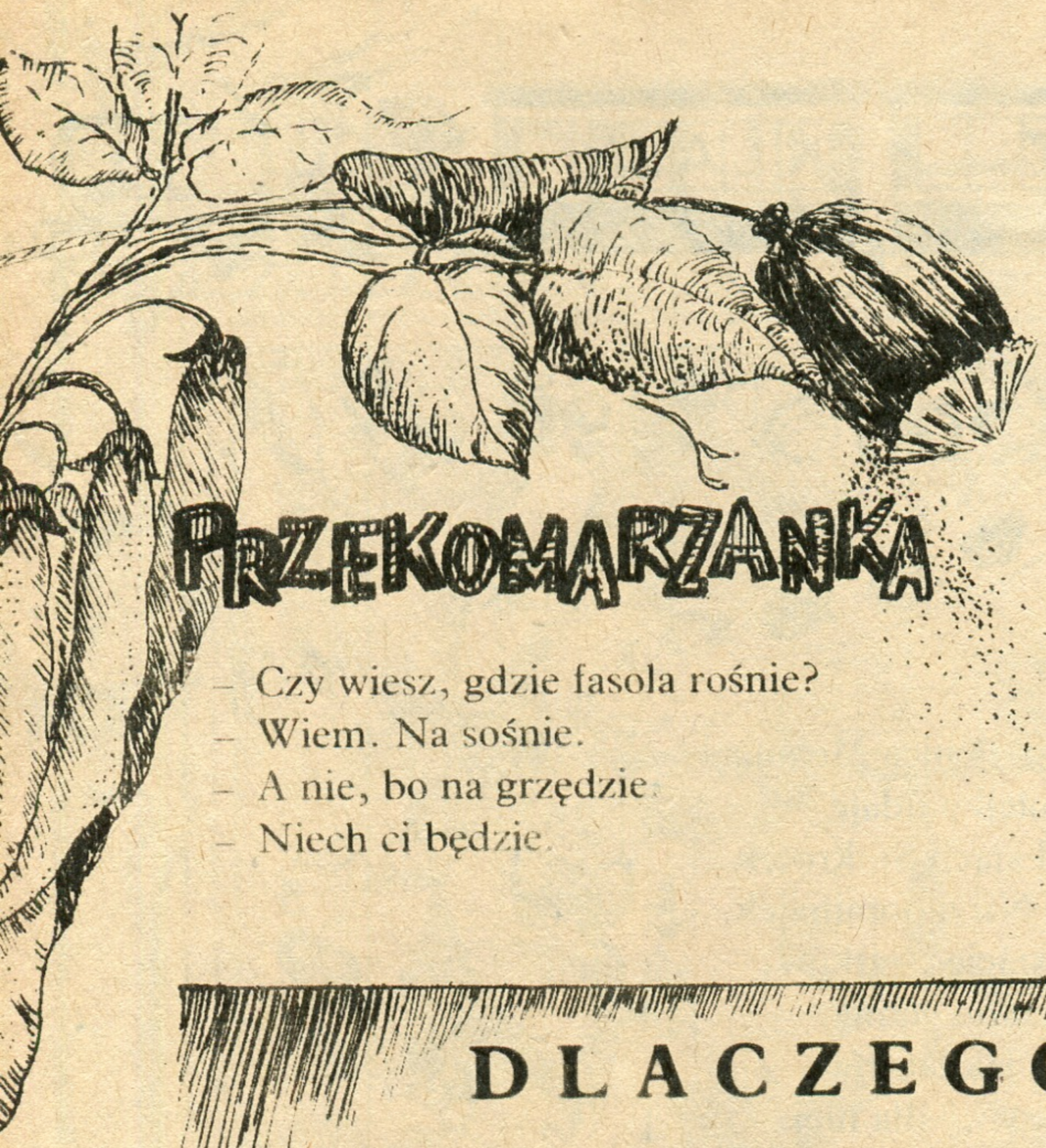

PRZEKOMARZANKA

– Czy wiesz, gdzie fasola rośnie?
– Wiem. Na sośnie.
– A nie, bo na grzędzie.
– Niech ci będzie.
– A teraz ja ci zadam pytanie:
czego się szuka
w sianie?
Tak.
– Igły!
– Dobrześ zgadł!
– A co je na śniadanie...
– Słoń?
– Nie. Szpak.
– Pewnie mak.
– Mak to się sieje na ciszę.
– Co mówisz?
Nic nie słyszę.

Elżbieta Szeptyńska

DLACZEGO PADA

Niż się z Wyżem wziął za bary.
Pokrzywili IZOBARY!
Wyż się puszy i nadyma,
Niż zaś w bok mu wbija klina...
Rozpłakała się Pogoda:
– Chłopcy, spokój! Lata szkoda...
W planie przecież są upały,
ledwie tuzin deszczów małych,
trzy ulewy, jedna burza,
żeby liście poodkurzać,
żeby wody miały dosyć
w lesie drzewa, w polu kłosy...
Niż i Wyż nie słucha wcale.
Ni o dwa HYDROPASCALE
nie ustąpi bratu brat.
W deszczu tonie cały świat.
Ale nam nie będzie smutno!
Choć PROGNOZA zła na jutro,
choć ma padać, oraz dmuchać...
Bo grunt to POGODA DUCHA.

Napisał Włodzimierz Mełzacki

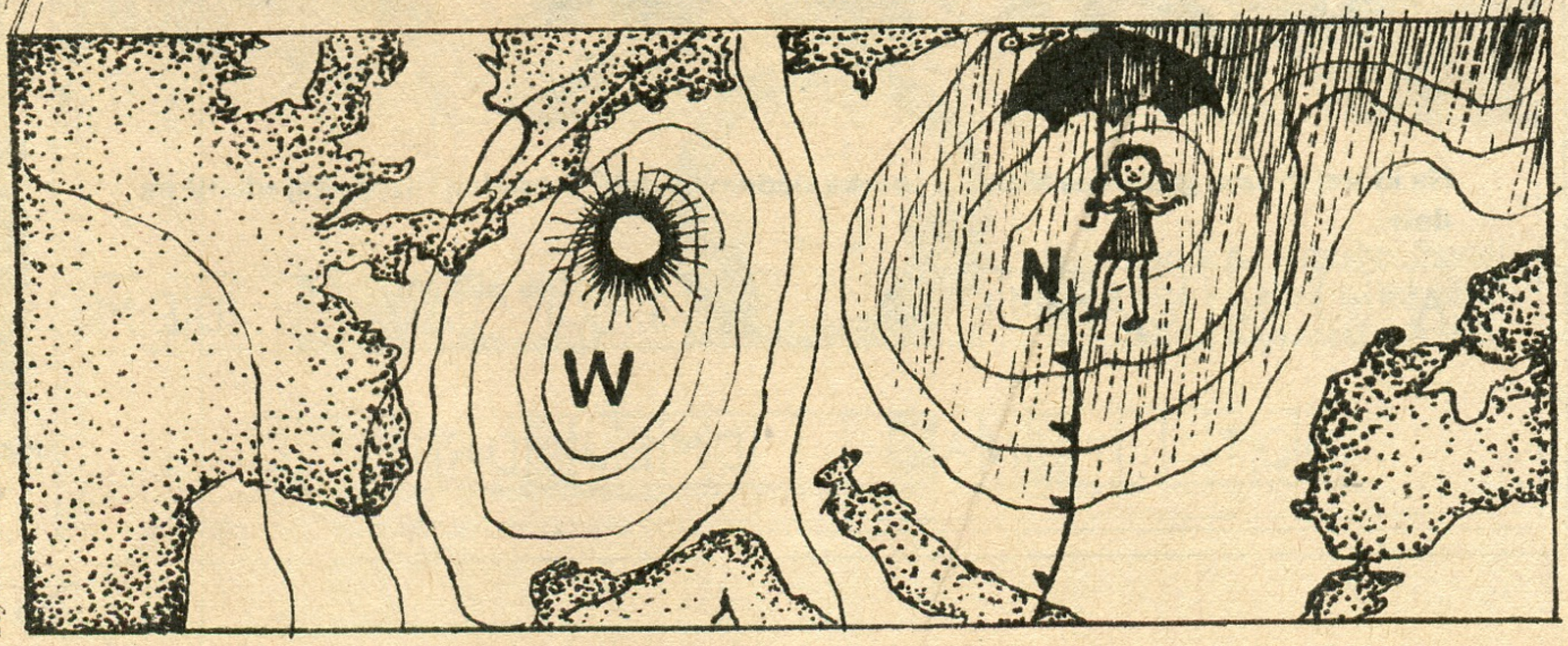

Rys. Halina Zakrzewska

KOLOROWANKA

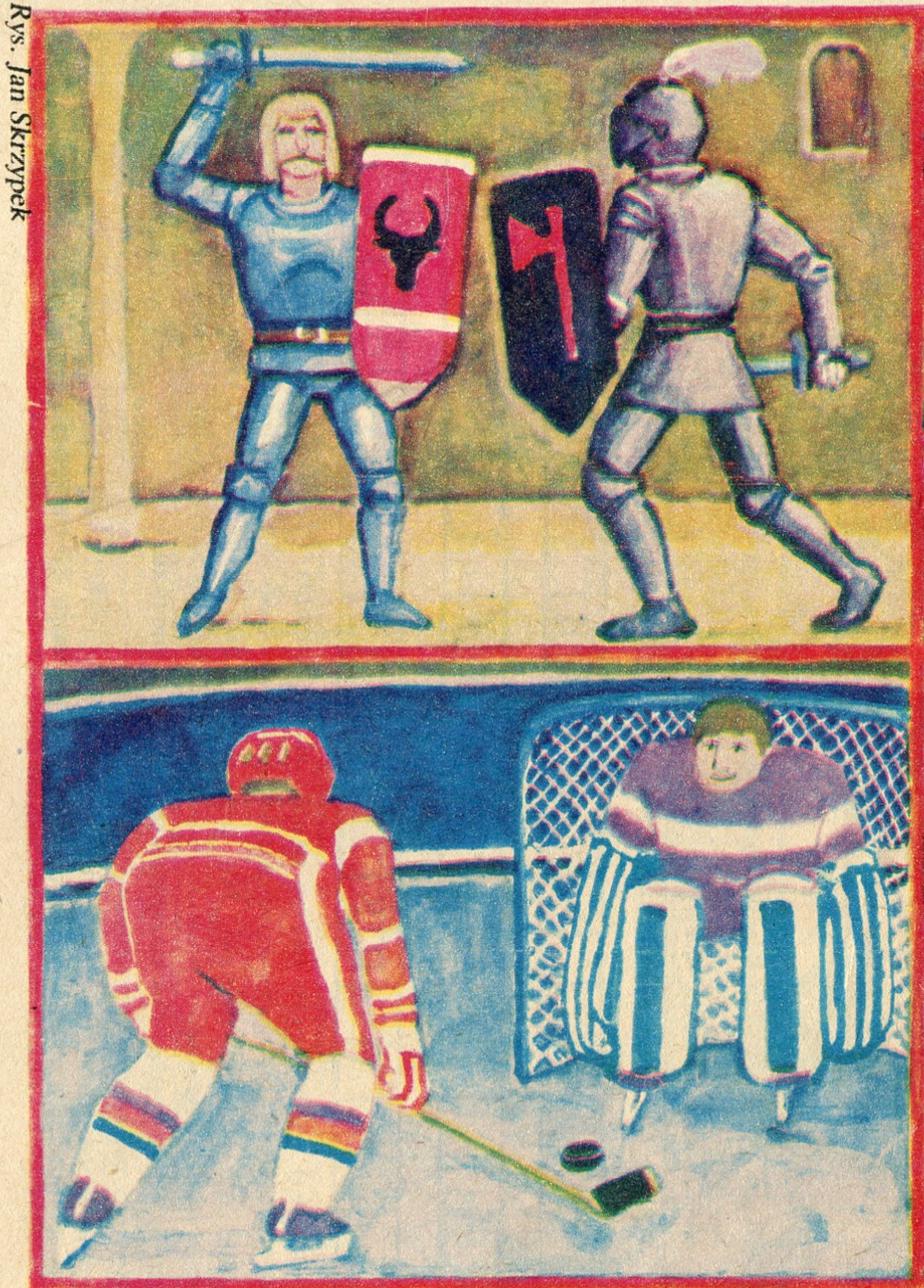

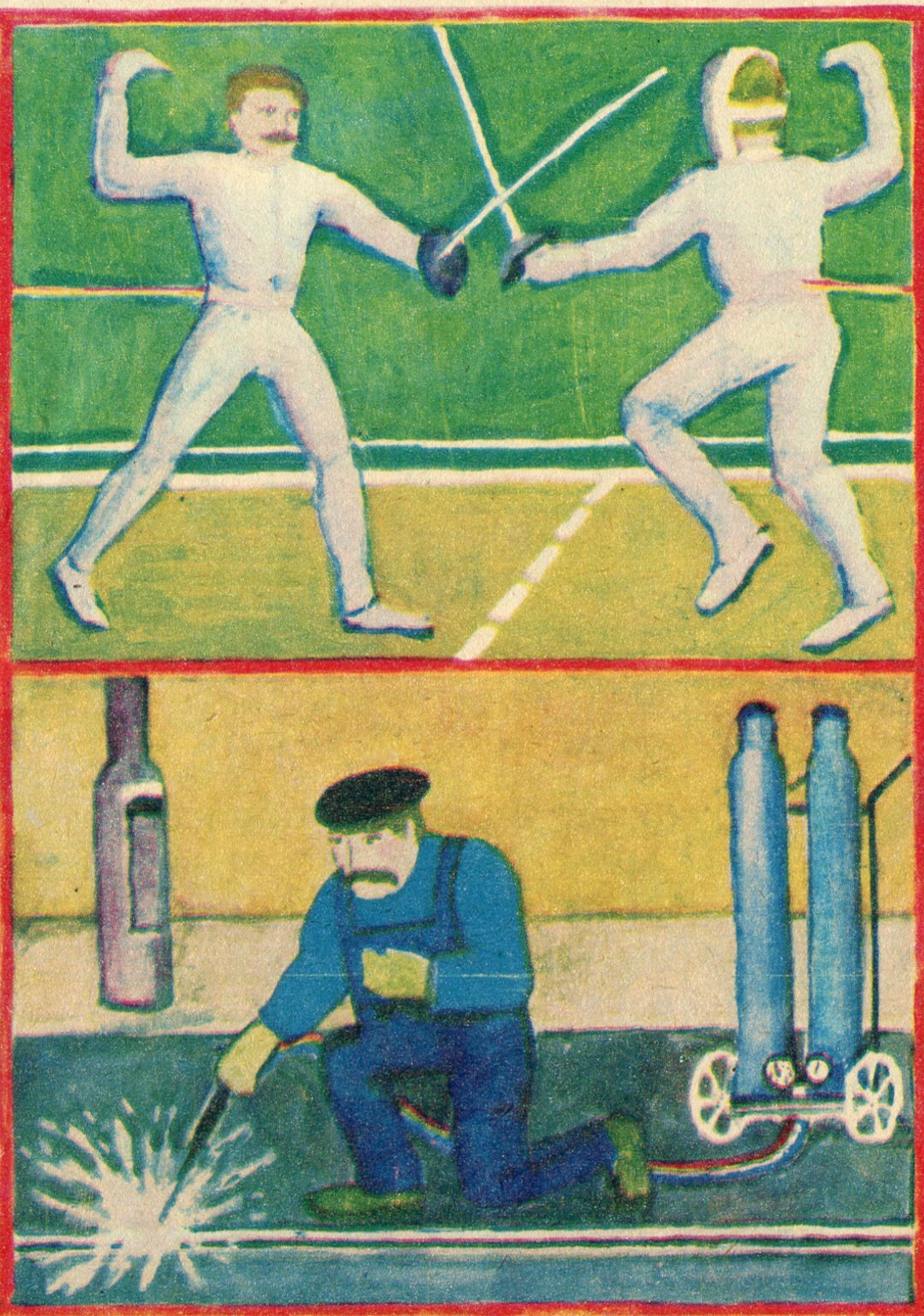

Wytnij maski i hełmy ochronne i naklej je we właściwych miejscach.

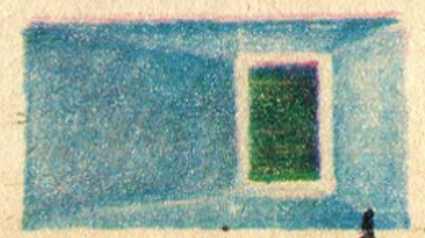

Rys. Jan Skrzypek

ZGADYWANKA Z PTAKAMI

Rys. Jan Skrzypek

1 _ _ _ O _ _ _ W _ 2 _ _ K _ R _ _ 3 _ _ L _

4 _ _ _ _ _ Ż Y _ _ 5 J E _ _ _ _ _ _ _ _

6 _ _ _ _ _ _ D K _ _ 7 _ _ _ _ _ _ Ó L _ _ _

Na rysunku znajdziecie różne ptaki: zimorodki, sikorki, strzyżyki, kuropatwę, gile, mysikróliki i jemiołuszki. Na pewno potraficie je rozpoznać.

Policzcie, ile jest ptaków każdego gatunku, a potem wpiszcie ich nazwy w kratki tam, gdzie obok jest umieszczona właściwa liczba. Wpisane w niektórych miejscach litery Wam pomogą. W kratkach obwiedzionych grubą linią odczytacie, co znajduje się już w wielu szkołach teraz, kiedy ranki, wieczory i noce są coraz zimniejsze.

Wśród prawidłowych rozwiązań rozlosuję 20 nagród książkowych.

Jakie to zwierzę?

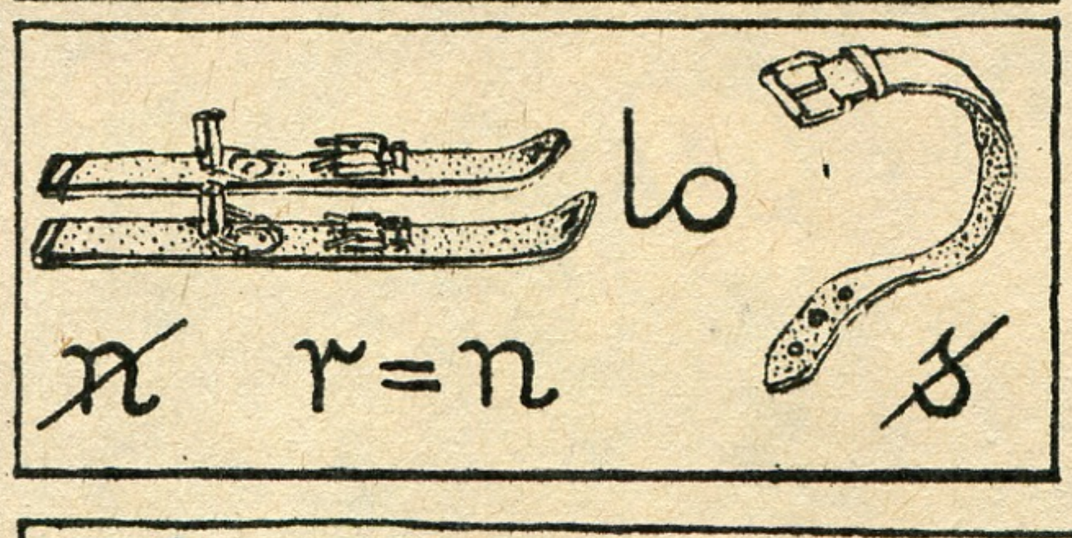

Oj, zielono...

Oj, zielono ma w głowie
mój dobry kolega,
bo przy świetle czerwonym
przez jezdnię przebiega!

T. Fangrat

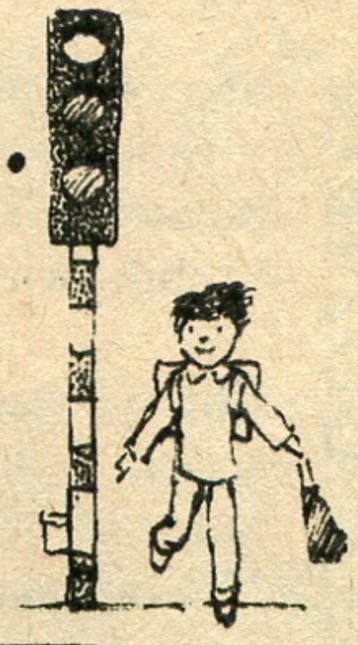

W PRACOWNI PANA ZENONA

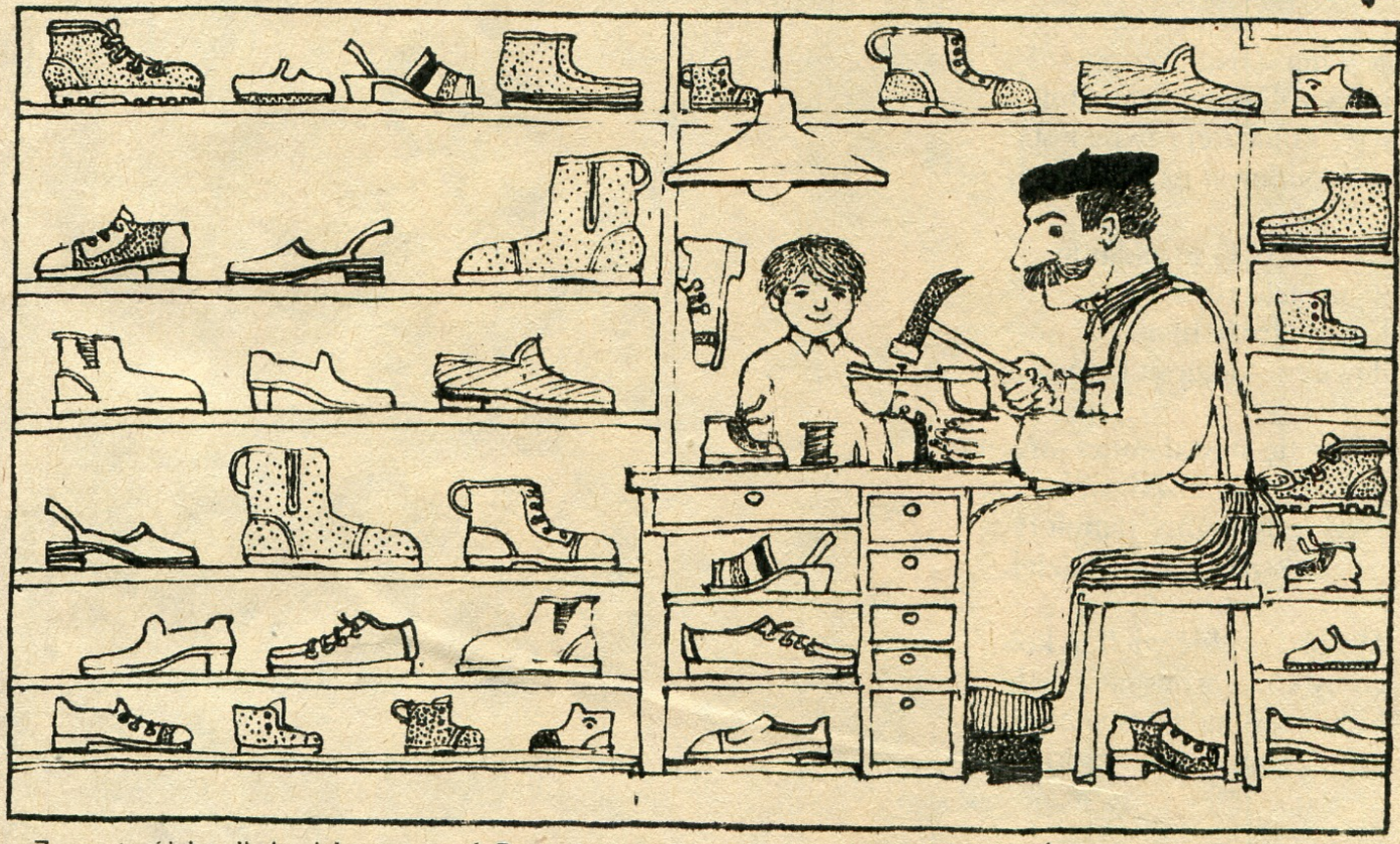

– Zaraz twój bucik będzie gotowy! Pomożesz mi za to uporządkować inne i ustawić je w pary. I wy pomóżcie!

SZKOLNE ZAGADKI

1. Wygodna, drewniana,
   polituro**wana**,
   czeka na mnie w klasie
   od samego rana.

   H. Ł.

2. Czy jestem gładki,
   czy w paski lub w kratki –
   nie gnieć mi rogów,
   nie brudź okładki.

   H. Ł.

3. Zielona lub czarna,
   białe znaki na niej.
   Kiedy machniesz ścierką,
   nic z nich nie zostanie.

   H. Ł.

„ŚWIERSZCZYK" ● Skrytka pocztowa 380, ● 00-950 Warszawa ● Tel. 26-36-01 ● Wydawca: I.W. „NASZA KSIĘGARNIA", ● Warszawa, ul. Spasowskiego 4

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Bolesław Zagała (redaktor naczelny), Jan Fribes, Anna Kowalska, Maria Kowalska, Zuzanna Szymczyk, Magdalena Śliwińska, Halina Zakrzewska-Zaleska (kierownik artystyczny), Hanna Zielińska (sekretarz redakcji). RADA REDAKCYJNA: Zofia Słobodzian (przew.), Mira Jaworczakowa, Maria Jastrzębska-Łuszczkiewicz, Helena Gutowska (sekr.), Władysław Kozłowski, Joanna Papuzińska, Olga Siemaszkowa.

Cena prenumeraty krajowej: kwartalnie 52 zł, półrocznie 104 zł, rocznie 208 zł. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz Urzędy Pocztowe i doręczyciele – w terminach: do 25 listopada – na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny, oraz do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty – na pozostałe okresy roku bieżącego. Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch". Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW, oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumeratę w Urzędach Pocztowych lub u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11 – w terminach podanych dla prenumeraty krajowej. Egzemplarze zdezaktualizowane można zamawiać w Centr. Kolp. Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 28, 00-840 Warszawa. Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa. Skład technika fotoskładu. Papier rotogr. 70 g, rola 126 cm, kl. V. Nakł. 600 300 egz. Zam. 5426/CD L-100

Materiały oddano do druku 30.IX.1981 r.

543

indeks: 37804

KOŁODZIEJE

Stare to, zamierzchłe dzieje
– które jednak dziś przywołam –
kiedy żyli kołodzieje
i robili świetne koła.

Chłop i rycerz, każdy kupiec,
szlachcic, hrabia, magnat, król
kołodziejów tych cenili.
No, bo czym jest wóz bez kół?

Nie ma sensu taki pojazd,
boby roli swej nie spełnił,
więc kołodziej równe koła
sam budował najzupełniej.

Ciężkie było to zadanie,
wymagało trudu wiele,
lecz podróże ułatwiali
dawnym ludziom kołodzieje.

Świat się stawał coraz mniejszy
ludzie coraz bliżsi sobie...
Dziś, gdy mamy samoloty,
także ważny jest kołodziej.

Mógłby zrobić wielkie koło,
co by świat wnet objechało
i zawiozło ludziom szczęście,
radość, spokój wszystkim krajom.

Emilia Waśniowska

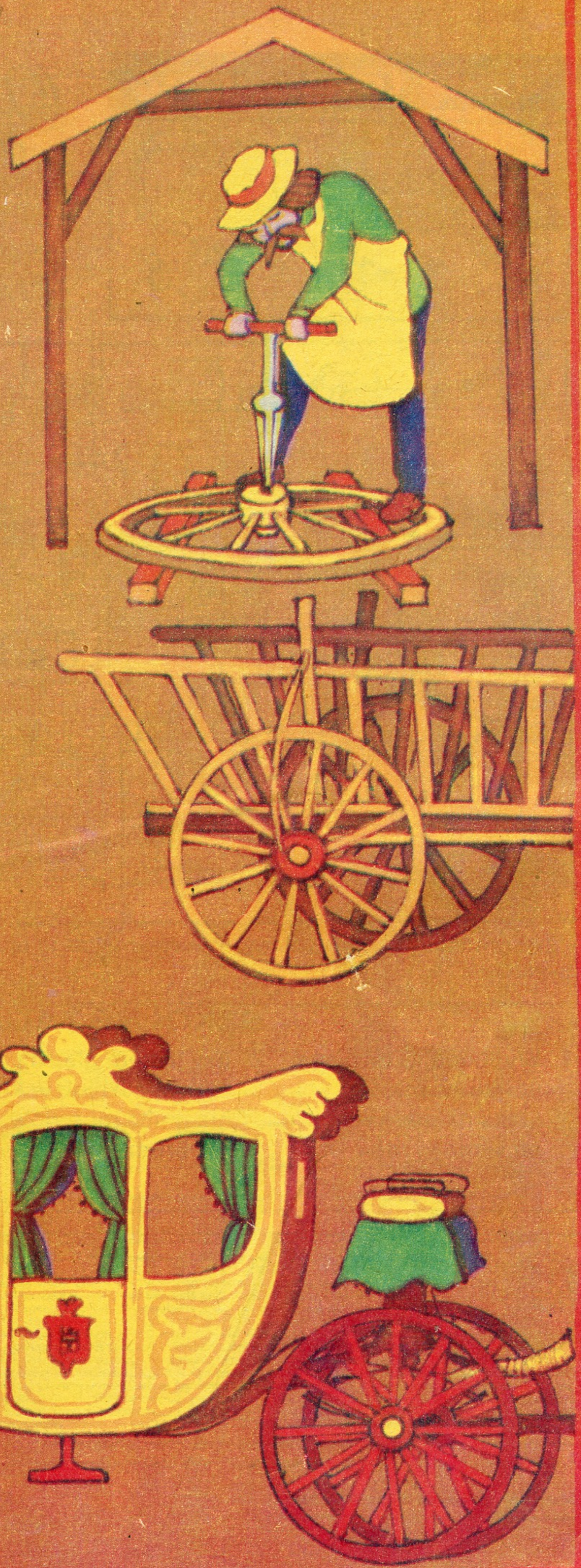

Rys. Zdzisław Witwicki